WTOREK
Nr 67 88-06-07 Cena 25 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

I TYLKO PIRACI TU TAŃCZĄ

UWAGA! SUPERPILNE!

PEACE CHILD w tym roku w Polsce

To zaproszenie dla Was, zachęcające do udziału w WIELKIM OGÓLNOPOLSKIM KONKURSIE NA PIOSENKĘ nadeszło do redakcji, niestety, nieco zbyt późno. Niewiele czasu pozostało tym, których ten konkurs zainteresuje. Szansa, by zdążyć, jednak pozostała. Przeczytajcie więc uważnie poniższy tekst, a dowiecie się — co robić!

Grasz i śpiewasz? A może piszesz wiersze? Oto szansa dla Ciebie!

Teleexpress i Młodzieżowa Agencja Kultury w Zamościu ogłaszają konkurs na piosenkę do polsko-amerykańsko-radzieckiego musicalu „PEACE CHILD IN POLAND'88", który będzie prezentowany podczas serii koncertów w głównych miastach Polski już w sierpniu tego roku.

Piosenka ma być wesoła, przebojowa, opowiadać o radości życia, o przyjaźni, o wierze we własne siły i o optymizmie, z jakim młodzi ludzie powinni podchodzić do problemów współczesnego świata i codziennego życia.

Autorami utworów mogą być młodzi ludzie do 18 roku życia. Piosenki możecie przesyłać w formie pisemnej (słowa + nuty) lub nagrane na kasecie z dołączonymi na osobnej kartce słowami. Oczywiście nie zapomnijcie o podaniu swoich danych: imienia i nazwiska, wieku i dokładnego adresu. **Przesyłkę — koniecznie z dopiskiem „Konkurs — Peace Child'88" — wysłać należy pod adresem: TVP — Teleexpress P-35, 00-950 Warszawa.** Termin nadsyłania piosenek mija — **20 czerwca** (specjalnie dla Was o pięć dni przedłużony przez organizatorów). Atrakcyjną nagrodę — niespodziankę, wkrótce obejrzycie w Teleexpresie! Oczywiście nagrodzona piosenka zostanie włączona do musicalu. Czyż nie jest to pierwszy krok do sławy?! Nie wątpimy, że staniecie w szranki ze wszystkimi zdolnymi i odważnymi. Kto wie, może ta piosenka już powstała, nie na konkurs, ale z samej radości życia, zachwytu światem i przyrodą, fascynacji nową przyjaźnią... — może wystarczy ją po prostu wyciągnąć z szuflady?

(eb)

P.S. Wkrótce szczegóły na temat fundacji amerykańskiej Peace Child i polskiego udziału w tym przedsięwzięciu.

Walka o władzę

Nie tylko ludzie toczą walki o władzę. Ostatnio około 200 kilometrów od Kuala Lumpur, stolicy Malezji, dwa krokodyle olbrzymy — ośmiusetkilogramowy Jaguh i dziewięćsetkilogramowy Johnny — walczyły ze sobą przez bitych sześć godzin. Zmaganiom tym przyglądało się bacznie około stu krokodyli, nie biorąc jednak w nich udziału (chcą władzy, niech się tłuką między sobą). Uległ mniejszy. Ale że walczył dosłownie do przysłowiowego ostatniego tchu, kierownictwo pobliskiego muzeum postanowiło zakonserwować i wypchać wojownika.

Liderzy szkolnego boiska

SPEŁNIONE NADZIEJE

(Inf. wł.) Marek Antoniewicz był przed laty specjalistą skoku wzwyż, czołowym juniorem w tej specjalności. Uzyskiwał wyniki w granicach 210 cm. Jednak nie zdecydował się na kontynuowanie wyczynowej kariery, postanowił bowiem zostać trenerem. Ukończył AWF we Wrocławiu i zdobył specjalność trenera lekkiej atletyki II klasy.

Najpierw rozpoczął pracę w sportowej szkole w Brzegu, a od 1984 roku prowadzi zajęcia wychowania fizycznego w SP nr 3 w Grodkowie (woj. opolskie). Przychodząc do tamtejszej szkoły postanowił, że w krótkim czasie osiągnie w pracy z młodzieżą widoczne efekty. Nadzieje młodego szkoleniowca spełniły się w bardzo krótkim czasie. Prowadzone przez niego dziewczęta zaczęły odnosić liczne sukcesy, szczególnie w grach zespołowych. I tak: młode koszykarki zdobyły w ubiegłym roku wicemistrzostwo województwa opolskiego w mini-koszykówce, natomiast piłkarki ręczne w kategorii juniorek młodszych wywalczyły brązowy medal na Wojewódzkiej Spartakiadzie Młodzieży. W obecnym sezonie pan Antoniewicz przygotowuje bardzo silną drużynę „szczypiornistek", która zamierza zdobyć na WSM-ie złoty medal.

Na pytanie o przyczyny tak szybkich postępów i wielu sukcesów pan Marek Antoniewicz odpowiada prosto: „Potrzebny jest zapał i solidna praca, a także umiejętne podejście do młodzieży". A że młody trener takowe posiada, potwierdzają to jego wychowanki, dla których jest nie tylko nauczycielem i wychowawcą, ale także wielkim autorytetem. **(ab)**

Fot **M. Włodarski**

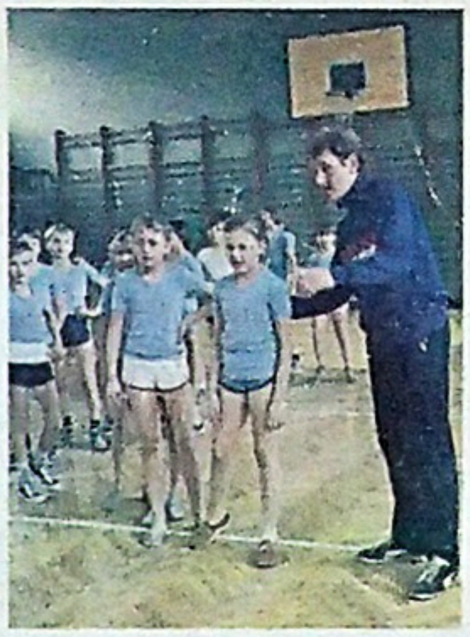

Piekarnia w domu

(PAP). W Japonii pojawił się poważny konkurent piekarni w postaci automatycznych mikropieców do wypieku chleba. Są one niewielkich rozmiarów i proste w obsłudze. Najpierw trzeba kupić pakiet surowca wyjściowego, na który składa się mąka, masło, sól, cukier i mleko w proszku. Potrzebna jest również woda i drożdże. Wszystkie składniki umieszcza się w elektrycznym piecu. Są one automatycznie mieszane i zamieniają się najpierw w ciasto, a po 4 godz. w gotowy chleb. Według własnego upodobania można dobrać także inne składniki i wówczas otrzymuje się np. chleb kukurydziany czy „pomidorowy". Wbudowany w urządzenie zegar gwarantuje, że można spokojne pójść spać czy zająć się innymi sprawami.

Za oddzielną opłatą można też nabyć swego rodzaju minipiłkę elektryczną, którą kroi się chleb bez okruchów.

BADANIA W STARYM SZYBIE

(PAP). Stara, porzucona kopalnia węgla na japońskiej wyspie Hokkaido stanie się ośrodkiem prowadzenia doświadczeń w warunkach braku ciążenia. Badane substancje będą zrzucane w specjalnej kapsule do 820-metrowego szybu, gdzie podczas swobodnego spadania przez ok. 10 sekund znajdować się będą w stanie nieważkości.

Upadek kapsuły na dno szybu będzie łagodzony przez silne magnesy. Ta metoda — zdaniem autorów projektu — pozwala prowadzić niektóre eksperymenty nieporównanie taniej niż w kosmosie.

Daleko do wody czystej...

(PAP). Prawie 2 mld ludzi na świecie żyje w miastach, w których nie ma źródeł czystej wody. Co roku ok. 25 mln osób w krajach rozwijających się umiera z powodu chorób wywołanych spożywaniem wody niezdatnej do picia. Według najnowszych danych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), tylko 75 proc. ludności miast i 40 proc. mieszkańców wsi ma dostęp do dobrej wody pitnej. Jeszcze niedawno przewidywano, że do 1990 r. każdy mieszkaniec naszego globu będzie miał zapewnioną czystą wodę. Dziś można powiedzieć, że cel ten jest daleki do osiągnięcia.

Redaguje LECH BĄK

KROK SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Bez komputera

Dziś chciałbym przedstawić list uczennicy ósmej klasy. Niektórzy z Was na pewno próbowali rozwiązać problem przedstawiony przez Barbarę. Jeśli komuś się to udało, niech napisze do mnie, jak to zrobił.

„Szanowny Panie Redaktorze!

...Informatyką (komputerami) interesuję się od ferii zimowych — tzn. od kiedy byłam we wrocławskiej szkole przy zakładach „Elwro". Niestety w mojej miejscowości nie mam szans „dopchania" się do komputera, co jest dla mnie wielką przeszkodą w rozwijaniu zainteresowań. Na razie gromadzę informacje na temat mikrokomputerów,

Cd. na str. 2

Poznajemy komputery

Portable

Portable — znaczy komputer przenośny. W cyklu „Poznajemy komputery" widzieliśmy już komputery przenośne typu „lap top" („komputer na kolana"). Na zdjęciu znajdują się produkty firm Data General, Panasonic, Sharp i SMT — Goupil. Różnice pomiędzy nimi są niewielkie, chociaż jedne z nich są faktycznie przenośne i korzystać z nich można w każdym miejscu, (mają własne akumulatory np. komputery firmy Data General) inne bardziej zasługują na nazwę: transportable — komputery do przewożenia. Ich wspólną cechą jest zgodność z IBM PC/XT oraz ciekło krystaliczne monitory (monitory takie charakteryzują się małą wagą, niewielkim poborem prądu i są płaskie). Mikroprocesory to różne odmiany I8088 lub I8086. Pamięć RAM od 256kB (Data General) do 768kB (Goupil). Stosuje się różne pamięci zewnętrzne: dyskietki 5 1/4 cala, 3 1/2 cala lub dysk stały 10MB. W trybie tekstowym na monitorze można wyświetlić 25 linii po 80 znaków w każdej. W trybie graficznym największa rozdzielczość to 640 × 200 lub 640 × 400 (Panasonic). Złącza (interface) we wszystkich są jednakowe: szeregowe RS 232 oraz równoległy drukarki. Jednym słowem: prawie takie same komputery i trudno powiedzieć, który z nich jest lepszy.

REPORTER Świata Młodych

MAMA, TATA I JA

DWÓCH OJCÓW

Moje koleżanki, gdy zadam im pytanie: „ilu ma-cie ojców?" — odpowiadają mi: „jednego". A ja mam dwóch. O pierwszym nic prawie nie wiedzia-łam oprócz tego, że (jak wynika z wieści od babci) ożenił się z mamą, wtedy kiedy byli bardzo młodzi. Potem z niewiadomej przyczyny rozwiedli się (babcia nie chce wiedzieć, dlaczego). Mama przez 5 lat była samotna (babcia mówiła, że w tym okresie dużo chorowała), a potem, zupełnie przypadkowo poznała tego drugiego. Wkrótce się pobrali. Dobrze pamiętam te szczęśliwe chwile z mamą i z tatą. Od tej chwili lata poleciały jak z bicza trzasnął. Nie wyobrażacie sobie jak szybko potoczyło się życie. W grudniu 1982 roku zmarła moja matka. Najbar-dziej rozpaczała po niej babcia. Babcia powiedziała mi, że moja matka zmarła na raka i zaproponowa-ła mi, abym się do niej (do babci) przeniosła. Od-mówiłam. Myślałam: co może mi się stać przy bo-ku ojca? Nie chciałam opuszczać wygodnie umeblowanego mieszkania, samochodu i ojca, którego wówczas bardzo kochałam. Jednak bardzo się za-wiodłam na nim. Dzień wyglądał mniej więcej tak: wstaję rano, muszę iść do sklepu po piwo (dla ta-tusia), następnie wyprawiam się do szkoły. Po lek-cjach od razu wracam do domu, sprzątam mie-szkanie i robię obiad. Potem mam wolną godzinę. W czasie takiej godziny mogę odrabiać lekcje lub iść do koleżanki. Gdy wracam z tej „wolnej" godzi-ny (lekcje muszę odrabiać u koleżanki) mieszkanie znajduję w okropnym stanie, a ponadto zastaję dom pełen „wesołych babek" (tak mówi na nie oj-ciec).

Pewnego dnia nie wytrzymałam, spakowałam manatki i postanowiłam pójść do babci. Babcia mieszkała w miasteczku oddalonym od naszego o 20 km. Przyjęła mnie z radością. Mieszkała zupełnie sama, więc pomagałam jej, jak mogłam. W tam-tych czasach babcia była dla mnie wszystkim. To przy jej pomocy zdałam do LO. Wiedziałam, że oj-ciec się cieszy z tego, iż się mnie pozbył. Z babcią mieszkałam dwa lata. W czerwcu zabrali ją do szpitala, a ja odwiedzałam ją jak najczęściej. W lipcu dała mi kartkę z adresem. Powiedziała, że tam znajdę ratunek. Przez pięć miesięcy leżała babcia w szpitalu. W grudniu zmarła. Dom babci rozebrano, bo był już stary i groził zawaleniem się, ale został problem: gdzie ja pójdę? Do Domu Dziecka? Czy do ojca? Przypomniałam sobie wtedy ów tajemniczy adres. Okazało się, że pod adresem tym mieszkał mój pierwszy ojciec. Przygarnął mnie, mimo że ma 5 dzieci. Stara się być dla mnie naj-lepszym ojcem. Ale zastanawia mnie, czy mój dru-gi ojciec ożenił się z moją mamą z miłości czy dla pieniędzy?

Ania

SĄ TOLERANCYJNI, ZWŁASZCZA MAMA

Rodzice moi są bardzo tolerancyjni, szczególnie mama, bo z tatą to różnie bywa. Mama jest tole-rancyjna między innymi pod tym względem, że nie „wyzywa", tak jak niektóre mamy, moich idoli. Ja osobiście uwielbiam C.C.Catch. Mama woli na pewno muzykę trochę wcześniejszą, ale gdy śpie-wa C.C.Catch, chwali ją, że ma ładny głos, jest ład-na itp. Tata też jest bardzo fajny. Na nic mi nie ża-łuje, co miesiąc daje mi kieszonkowe 1000 zł.

Z moim bratem też można wytrzymać, tylko że za dużo się zgrywa i ciągle mi dogaduje, że powin-nam mu zawsze ustępować, bo on jest starszy. A między nami jest różnica tylko trzech lat. Pomimo niektórych wad bardzo kocham swoją rodzinę i w przyszłości chciałabym odziedziczyć po nich nie-które cechy.

„Cara"

CHŁODNE SERCE TATY...

Nasza rodzinka składa się z 5 osób: ja, moi bra-cia (Krzysio i Stasio) oraz mamusia i tata. Bardzo kocham swoją mamusię, ponieważ jest bardzo do-bra, uczciwa i pracowita. Ogromnie dużo pracuje, nawet niekiedy nie może usiąść przed telewizorem, gdy jest jakiś fajny film, nie mówiąc już o pójściu do kina. Ma bardzo dobre serce i nie lubi się kłó-cić, zawsze chce żyć w zgodzie z każdym. Kupuje mi modne „ciuszki" i pozwala na różne przyjem-ności (których sama bardzo mało doznaje). Je-stem naprawdę z niej dumna.

Moi bracia także bardzo ją kochają, chociaż wcale dla niej nie są „aniołkami". Natomiast tata ma całkiem inny charakter. Ma zimne serce, pra-wie w ogóle się nami nie interesuje. Wszystko stoi na głowie mamy. Tata bardzo często zagląda do kieliszka, a potem z tej przyczyny wynikają kłótnie. Czy mogę go lubić? W całej rodzinie zawsze on jest najmądrzejszy, a reszta to sami „głupcy". Bar-dzo bym chciała, żeby się zmienił, ale chyba się te-go nie doczekam.

Mam 13 lat i uczę się nie najgorzej. Jestem jed-nak leniuszkiem, bo czasami nic nie chce mi się robić, ale mimo tego kaprysu, staram się być dla mamusi najlepszą przyjaciółką. Jest najlepszą ma-musią na świecie!

Anka K.

KTO MA RODZINĘ — JEST BOGATY

Moja rodzina nie jest idealna, lecz chyba wszys-cy się starają, by taka była i to jest wspaniałe. Wy-daje mi się też, że idealna rodzina nie jest wcale taka cudowna, bo kłopoty i kłótnie to coś, co ożywia nas wszystkich, co łączy.

Długo się zastanawiałam nad największymi skar-bami świata i doszłam do tego, że jednym z naj-szlachetniejszych kamieni jest właśnie rodzina. To ona tworzy Dom, otacza największą miłością żyją-cych w nim, daje uczucie spokoju, radości, pobu-dza do tworzenia, uczy życia, zapoznaje z cudami świata. Stwierdziłam, że należeć do RODZINY w pełnym stopniu znaczenia, to być szczęśliwym.

Temat: „Mama, tata i ja" jest dla mnie troszecz-kę nieścisły, bo istnieje jeszcze „ona". Ktoś Osob-nik rodzaju żeńskiego, parę lat młodszy, z długim nochalem, który wszędzie się wpycha; przyczyna mych tragedii i bólów, po prostu **siostra**. We czwórkę tworzymy wielki „klan". Największą jego ostoją jest tato. W nim widzę wzór i uwielbiam go całego (bez wyjątku). Mamusię też bardzo kocham, lecz zachowanie taty wprawia mnie w podziw i doprowadza do szaleństwa! Uwielbiam te jego mó-wione z uśmieszkiem słowa, tę jego sprawiedli-wość, konsekwencję i bezinteresowność. Mama twierdzi, że mój podziw wywołany jest tym, że je-stem dziewczynką, a one mają „słabość do pa-nów". No cóż, tak już jest.

U mamy cenię wesołość i to, że można z nią pogadać jak z kumplem. Doprowadza mnie nato-miast do zdenerwowania jej czuły stosunek do mo-jej siostry, czasem nawet pewna niesprawiedliwość. Młodszy pupilek puszcza cudne oczka do mamy i mama... topnieje. Ja, niestety, jestem już za stara, by używać „cudnych oczek".

A jaka jest siostra? Czasem są z nas dwie papuż-ki, najlepsze przyjaciółki, których nie da się rozłą-czyć. Są jednak i takie dni, gdy prowadzimy wojnę — straszną i okrutną. Siostra ma różne humory, a ja cierpię. Zazwyczaj po 5 minutach, gdy czegoś potrzebuje — zjawia się z czarodziejskimi uśmiesz-kami, lecz ja i tak się denerwuję. A potem... zgoda i znowu młyn. Ale bez siostry byłoby ciężko (to tak po cichu, lepiej, żeby się nie dowiedziała...).

Uwielbiam nasze wspólne rodzinne wycieczki, najlepiej do lasu lub nad jezioro. Wszyscy są dob-rzy i szczęśliwi, mogę wtedy pomarzyć, powario-wać. W naszych wspólnych wypadach czuję siłę słowa **rodzina**, czuję więzy, jakie nas łączą i zdaję sobie sprawę, że jestem bardzo szczęśliwa.

Gdybym kiedyś miała rodzinę, to zniosłabym jednak pewne „usterki". Supełkiem rodzinny, któ-ry tworzymy pozostawiłabym, również wieczorne rozmowy, ekstra wycieczki, spacery. Chciałabym mieć też pewne cechy mych rodziców: dobroć, opanowanie, solidność działania... Wykluczyłabym natomiast wszelkie niesprawiedliwości, rocznikowy podział (tzn. ja i ona), kłótnie o drobnostki: o rozbi-cie szklanki. Rozwinęłabym warianty sprawiedliwoś-ci (ząb za ząb, ręka za rękę; a nie — ona — mała, a ty — taka duża i jeszcze nie ustąpisz!?). A tak w istocie, to wcale nie chciałabym stworzyć idealnej rodziny, bo czym bym się zagryzała, czy wpatry-wała w gwiazdy, o co bym płakała? Nie chciałabym też mieć jedynaka. Kto by na mnie skarżył, krzy-czał, bił gdyby nie ona — siostra!

Kochani! Jeżeli macie dobre rodziny, to cieszcie się, bo jesteście bogaci. Życzę wszystkim super mam, ekstra tatów oraz takich „onów czy onych".

„POLKA"

TATA GOTUJE, A MAMA...

Moja rodzinka jest w dechę. Najgrubszą deską podtrzymującą dom jest tata. U nas tata jest jak mama, ponieważ on właśnie wykonuje wszystkie obowiązki domowe np. sprząta, zmywa naczynia, pierze, gotuje obiad. Tatko jest z natury towarzy-ski, ma poczucie humoru i jest tolerancyjny. Mama zajmuje się tym, żebyśmy ja i moje dwie sio-strzyczki były modnie ubrane i by niczego nam nie brakowało z przyborów szkolnych itp. Jest wyrozu-miała i nowoczesna.

Moim autorytetem jest tata. Jeszcze są dwa „diabełki" — bliźniaczki: Karolina i Paulina; mają po 7 lat i chodzą do I klasy. Zapytałam się, kogo najbardziej kochają, odpowiedziały równocześnie: tatusia i mamusię. Rodzice nie biją ani nie krzyczą za złe oceny (dst), bo sami nie byli „aniołami" w szkole. Lubimy wszyscy razem wyjeżdżać poza miasto i nigdy u nas w domu nie ma kłótni. Wszyscy rozumieją się bez słów.

Anna Ślusarek (l. 13), Kraków

NIKT NIE BĘDZIE PALIŁ!

Cztery osoby o podobnych charakterach i in-nych problemach. Mama — mój autorytet; łagod-na, fajna, wyrozumiała, najukochańsza, najpięknie-jsza, a jednak często się z nią kłócę, bo pali papie-rosy. Tata — jest złotą ręką. Wszystko załatwi i na-prawi, jest wesoły tak, że pękam z siostrą ze śmie-chu, lecz jak przystało na czterdziestolatka uwiel-bia prawić morały. Jego pasja i słaby punkt, to ry-by. Siostra — jest najładniejszą, najzgrabniejszą dziewczyną w naszej rodzinie, a zarazem moją przyjaciółką, której zawsze się zwierzam. Często się kłócimy, ale strasznie nawzajem się kochamy. Lubi-my się śmiać i obserwować naszego psa, którego uważamy za członka rodziny. Poza tym ja z mamą uwielbiamy kwiaty i kuchnię.

Rodzice są wyrozumiali oraz tolerancyjni: dają nam pełną swobodę i zaufanie. Doceniamy to.

Chciałabym, aby w mojej przyszłej rodzinie pa-nowała podobna atmosfera wzajemnego zaufania, ale u mnie w rodzinie nikt nie będzie palił papie-rosów!!!

„Mała", Stargard Szczeciński

REDAKCYJNA POCZTA

Poza nawiasem

Mamy po 13 lat. W naszej klasie jest dziewczyna, która ma dużo pieniędzy i bardzo tym szpanuje. Ma świetne ciuchy, wideo, komputer — i uważa się za coś lepszego. A co gorsza, znaleźli się tacy, którym to im-ponuje i starają się ją naśladować.

My nie należymy do tego grona, dlatego znalazłyś-my się jakby poza nawiasem klasy. Nasze istnienie jest zauważane podczas klasówek i odpytywań. Wtedy wszyscy chcą koło nas siedzieć.

Próbowałyśmy się zmienić, nawiązać z nimi przy-jaźń, ale te dziewczyny nie chcą...

Inka i Małgosia

„Panienka" czy koleżanka?

Nigdy nie myślałam, że kiedyś i ja napiszę do „nie-bieskiego powiernika". Zawsze trochę śmiałam się ze spraw tu poruszanych, tymczasem na własnym przy-kładzie przekonałam się, że są one istotne. Niedawno doszłam do bardzo ważnego wniosku. Przyjaźń z dzie-wczyną, tzw. chodzenie chłopcom służy tylko za pre-tekst do opowieści kolegom o kolejnej panience. Oni tylko chwalą się między sobą z iloma to już „panien-kami" chodzili. Chodziłam już z trzema chłopakami, pytałam koleżanek i wszystkie mają podobne obserwa-cje. Już sama nazwa „panienka" oznacza jakby coś gorszego od „pana i władcy". Tacy „panowie" naj-częściej kończą znajomość z dziewczyną nawet bez ce-remonialnego „dziękuję", czy nawet zwykłego „cześć".

A może to ja jestem niedojrzała, zacofana? Czy są jeszcze gdzieś chłopcy, którzy cenią przyjaźń, a nie „zaliczanie panienek"? Może się odezwą?

Żyrafa

Ciasny ale własny

Moja rodzina składa się z rodziców, 3-letniej siostry i mnie, czternastolatki. Rodzinka jest fajna, chociaż czasami zdarzają się konflikty. Teraz właśnie trwa w domu batalia o pokój; o małe pomieszczenie o po-wierzchni kilku metrów, które dotąd zamieszkiwałam. Miałam w nim swoje mebelki, książki, plakaty, itp. ale rodzice doszli do wniosku, że siostra jest już na tyle duża, żeby zamieszkać ze mną w jednym, większym pokoju. A ja tego nie chcę! Siostrzyczka chodzi spać o 20[00], sypia też w dzień, a wtedy nie wolno jej przeszka-dzać! Nie wyobrażam sobie wspólnego z nią pokoju!

Jak wytłumaczyć rodzicom, że chociaż obie jesteśmy dziećmi, to jednak jest między nami 11 lat różnicy i nie ma mowy o znalezieniu wspólnego języka?!

Starsza siostra

OD REDAKCJI: Miła „Starsza Siostro", nie napisa-łaś nic o Waszej sytuacji mieszkaniowej, być może to ona zmusza Twoich rodziców do „dokwaterowania" Ci siostrzyczki. Jeśli jednak macie kilka pokoi — porozma-wiaj spokojnie z rodzicami, wytłumacz im swoje racje. Zrozumiałe, że nastolatka pragnie mieć własny kąt, gdzie czułaby się u siebie. Oh, taki mały kawałek świata na własność. Rzeczywiście, potrzeby nastolatki i małego dziecka są zupełnie różne: chodzi tu nie tylko o porę kładzenia się spać, ale także zabawy, spotkania towa-rzyskie, odrabianie lekcji. Wytłumacz rodzicom to wszystko, ale też wysłuchaj ich racji. Może uda się Wam wspólnie dojść do rozwiązania tej sprawy. Może dałoby się tak urządzić ten większy pokój, tak ustawić meble, żeby stworzyć dwa mniejsze, przytulne pomie-szczenia? Staraj się wyjść naprzeciw rodzicom, jeśli chcesz, by i oni Ciebie zrozumieli.

I jeszcze jedno: postaraj się być dobrą starszą siostrą. Trzyletni maluch bardzo potrzebuje kogoś takiego — opiekuna i kumpla jednocześnie. Ciekawe jak poradzili sobie z podobnymi kłopotami inni czytelnicy RP? (al)

Cd. ze str. 1

czytam czasopisma (z których nieraz nic nie rozumiem). Z mojej sytuacji wynikają dwie prośby:.... Moja druga prośba związana jest z pomysłem przedstawionym w liście Artura Wawrzyniaka. Napisał on, że ma makietę klawiatury komputera ZX SPECTRUM PLUS. Pomyślałam, że jeśli nie mogę mieć komputera, to podobnie jak Artur mogę mieć makietę klawiatury. Niestety nie wiem jak zdobyć plan rozmieszczenia klawiszy i dlatego zwracam się z prośbą o wydrukowanie (możliwie dokładnie i czytelnie) rozmieszczenia klawiszy.

Za spełnienie moich próśb z góry dziękuję.

Barbara Kalinowska"

Problem przedstawiony przez Barbarę jest bardzo powszechny. Na wakacjach lub u kolegi zetknęliście się z komputerem. Zabawa z tym urządzeniem jest bardzo przyjemna, często również bardzo pouczająca. Nie należy się dziwić, że tak wielu chciałoby po „rozstaniu" znaleźć coś zastępczego. Wasze pomysły na zastąpienie komputera czymś innym są bardzo różne; choćby taki jak Artura, jednak nie znam żadnego substytutu godnego polecenia.

Bardzo wiele można poznać nie dotykając się do klawiatury, nie widząc monitora, wszystko przeczytawszy z podręcznika. Do takich działań można zaliczyć naukę pisania programów, czy układania algorytmów, opanowanie języka programowania, poznanie określonego typu komputera, czy różnych sposobów rozwiązywania problemów za pomocą komputera, wreszcie poznanie istniejących programów. W oderwaniu od praktyki (konkretnie pracując bez komputera) wszystkie te działania są żmudne, po drugie nie są tak przyjemne, a po trzecie nie możemy sprawdzić czy dobrze zrozumieliśmy istotę problemu przeczytawszy porcję teoretycznych rozważań zawartych w podręczniku.

Nie oznacza to, że zniechęcam Was do czytania podręczników czy czasopism informatycznych, wręcz przeciwnie. Uważam, że każdy, niezależnie od tego czy ma komputer czy nie, powinien o nim wiedzieć tyle samo, ile o innych często używanych narzędziach i urządzeniach. Każdy z Was powinien potrafić skorzystać z telefonu, (bez względu na to czy interesuje się techniką czy nie) a myślę, że za dwa, trzy lata komputer będzie równie powszechny jak telefon.

Jak zdobywać informację o komputerach i pracy przy nich? Jeśli nie macie komputera powinniście czytać książki, artykuły w gazetach, czasopisma poświęcone komputerom. Oczywiście nie wszystko jest przeznaczone dla Was. Część artykułów i książek to typowo specjalistyczna literatura przeznaczona dla wąskiego grona odbiorców — posiadaczy konkretnego typu komputera czy użytkowników określonego programu. Takich rzeczy nie czytajcie — co najwyżej wstęp, aby dowiedzieć się co można zrobić z komputerem. Radziłbym Wam zająć się zagadnieniami teoretycznymi — poznając nowe zastosowania tego sprzętu, możliwości obliczeniowe różnych typów komputerów, nowe algorytmy. Oczywiście nie może to być bierne czytanie. Każdy z Was powinien się zastanowić nad tym, co nowego można zrobić z komputerem, do czego jeszcze go wykorzystać, jak powinny wyglądać programy użytkowe, aby łatwe były w wykorzystaniu. Ten etap pracy można nazwać postawieniem zadania. Teraz oczywiście należałoby przejść do drugiego etapu — jeśli starczy Wam sił i ochoty — rozwiązania zadania. W nim trzeba ułożyć plan działania tzn. algorytm. Te dwa etapy to najtrudniejsza praca, dalej jest już bardzo łatwo — jeśli masz komputer. Jeśli nie posiadasz — koniec Twojej działalności.

Jeśli masz pomysł, a nie dysponujesz komputerem — napisz, a może ktoś z czytelników ABC zechce zrealizować go na komputerze.

TDC
ŚWIAT MŁODYCH
KLUB MIŁOŚNIKÓW
JULIUSZA VERNE'A
SPOTKANIE 7

PODMORSKA INSPEKCJA

Morskie dno to istna kopalnia skarbów. Nie tylko klejnotów, złotych i srebrnych monet, zabytkowych przedmiotów czy sztabek złota w ładowniach zatopionych karaweli, galeonów, statków handlowych i pasażerskich.

W czasach kryzysu surowcowego równie wielką wartość mają także minerały i rudy metali zalegające na dnie głębin neptunowego królestwa. Oprócz ogromnych złóż ropy naftowej, zalegają tam, znacznie bogatsze niż na lądzie, pokłady cyny, aluminium, miedzi, kobaltu, niklu, brył żelazowo-manganowych, siarki, fosforytów oraz kruszywa budowlanego. Nic więc dziwnego, że podmorskimi bogactwami coraz bardziej interesują się naukowcy z wielu krajów.

Nadbałtyckie państwa socjalistyczne — NRD, ZSRR i Polska postanowiły zjednoczyć swoje badawcze wysiłki w tej dziedzinie. W roku 1972 powołano do życia wspólną organizację o nazwie „Intermorgeo", mającą poszukiwać złóż różnego rodzaju surowców występujących w granicach wód terytorialnych współpracujących państw. Ponadto specjaliści z tych krajów zajęli się opracowywaniem nowych metod i środków technicznych do przeprowadzania badań geofizycznych i poszukiwania zasobów naturalnych w morzach i oceanach. Biorące udział w tej akcji polskie statki „Kopernik", „Oceanograf" i „Hydromet" rozpoczęły żmudne, wielomiesięczne badania sejsmograficzne. Odkryto złoża kruszywa budowlanego na Ławicy Odrzańskiej i Ławicy Słupskiej.

Stwierdzono także występowanie minerałów ciężkich: cyrkonu, monacytu i granatu, które w ilości kilku tysięcy ton rocznie sprowadzaliśmy dotychczas z zagranicy. Na polskim szelfie — czyli niezbyt głębokim pasie dna — natrafiono również na kuliste bryły zawierające głównie żelazo i mangan.

Podczas badań sprawdzono najnowszą aparaturę, skonstruowaną do tych celów w zainteresowanych krajach.

Na jednym z radzieckich statków wypróbowano urządzenie, które dokonuje natychmiast analizy danych uzyskiwanych przez geologów podczas „prześwietlania" dna morskiego. Przyspieszyło to prace nad sporządzeniem podmorskich map geologicznych oraz badaniem procesów powstawania dennych zasobów mineralnych.

NA SAMYM DNIE

Po zakończonej sukcesem rozpoznawczej penetracji naszej strefy Bałtyku, konstruktorzy ze zdwojoną energią przystąpili do prac przy projektowaniu podwodnych aparatów, umożliwiających wydobywanie podmorskich skarbów.

Uznanie w świecie zdobyło unikatowe urządzenie zbudowane w 1976 roku przez stoczniowców Trójmiasta. Batyskaf „Geonur", zwany też „podwodną wieżą wiertniczą" umożliwiał wykonywanie wierceń podwodnych w basenach portowych i stoczniowych oraz torach żeglugowych, co ułatwiało roboty pogłębiarskie i budowę urządzeń hydrotechnicznych.

W roku 1981 powstała jego ulepszona wersja, przystosowana do samodzielnych prac poszukiwawczych geologicznych i archeologicznych. „Geonur II" może zanurzać się na głębokość do 150 m i wiercić dno morskie do głębokości 100 metrów.

Nasze stocznie przymierzają się do realizacji innych zamówień: kulistych kabin badawczych, podwodnych laboratoriów, małych i średnich łodzi podwodnych itp.

Jednak koszty budowy i eksploatacji takich skomplikowanych urządzeń są bardzo wysokie. Dlatego podjęto też prace koncepcyjne nad możliwością budowy niedużych i tańszych w eksploatacji bezzałogowych pojazdów podwodnych.

PRÓBNE ZANURZENIE

W roku 1980 w Instytucie Okrętowym Politechniki Szczecińskiej przystąpiono do budowy prototypowego, bezzałogowego urządzenia, współdziałającego z platformami wiertniczymi.

Aparat przeznaczony miał być do sprawdzania w jakim stopniu woda niszczy stalowe słupy platform, a za pomocą specjalnych manipulatorów wykonywać miał podwodne prace przy cięciu, spawaniu czy wydobywaniu różnych przedmiotów z morskiego dna. Urządzenie zbudowane przez zespół kierowany przez dr. Andrzeja Piegata powstało w 1985 roku. Pierwsze sprawdziany systemów kierowania pojazdu wyposażonego w płetwy sterowe umożliwiające regulację głębokości zanurzenia odbyły się na jeziorze w Iński. Jego wody są wyjątkowo przejrzyste, co umożliwiało dokładną obserwację poszczególnych etapów doświadczenia.

Matematyczne obliczenia nawigacyjne, które wówczas przeprowadzono, były bardzo przydatne przy budowie następnego aparatu podwodnego, nad którym obecnie pracują specjaliści z Politechniki Szczecińskiej.

— MUNA-400 jest bezzałogowym pojazdem inspekcyjnym. Za pomocą zainstalowanych na jego pokładzie kamer podwodnych możliwa jest wizualna kontrola stanu technicznego różnego rodzaju urządzeń hydrotechnicznych: platform wiertniczych, podwodnych rurociągów, kabli energetycznych, badanie konfiguracji dna czy wstępna penetracja wraków. Aparat ma być wyposażony w manipulatory do pobierania próbek oraz wykonywania prac podwodnych — na przykład odkręcania lub zakręcania zaworów, — czy niektórych operacji przy silnikach okrętowych itp. — mówi jeden z konstruktorów podwodnego pojazdu — inż. **Mariusz Matejski** z Instytutu Okrętowego Politechniki Szczecińskiej.

MUNA-400 ma być wyposażona w 8 elektrycznych silników napędzających. Poruszać się będzie z prędkością około 8 węzłów czyli ok. 3 m/sek. Oprócz sterów kierunku, pojazd posiada także stery głębokości, umożliwiające osiągnięcie odpowiedniego poziomu zanurzenia. Aparat połączony jest kablem ze statkiem-bazą, skąd sterowany jest sygnałami mikrofalowymi. Od macierzystego statku może oddalać się na odległość 300 metrów.

Inż. Władysław Skórski, jeden z projektantów „MUNY-400", podaje wymiary podwodnego pojazdu. Stalowy korpus ma 2,5 metra długości, 1 metr szerokości i 80 cm wysokości

Bez pomocy komputera nie obejdzie się dziś żaden konstruktor. Inż. Mariusz Matejski z Instytutu Okrętowego Politechniki Szczecińskiej podczas teoretycznych wyliczeń

Niedawno zakończono próby modelu w skali 1:1, które potwierdziły trafność technicznych założeń. Obecnie trwają prace przygotowawcze do rozpoczęcia budowy: prowadzi się dalsze obliczenia, przygotowuje materiały i urządzenia.

Prace mają być zakończone w 1990 roku. W Szczecińskiej Stoczni im. A. Warskiego zostaną wykonane wtedy próby ciśnieniowe. Pojazd przeznaczony jest do wykonywania zadań na głębokości do 400 metrów, wymaga więc szczególnie dokładnych prób szczelności i wytrzymałości.

— Pojazd bezzałogowy ma sporo zalet. Przede wszystkim nie naraża na szwank życia ludzkiego, niepotrzebna jest wymiana zapasów tlenu. Jest także znacznie tańszy w eksploatacji niż podwodne okręty z załogą — reklamuje „MUNĘ" drugi z projektantów — inż. **Władysław Skórski.**

Walory pojazdu doceniają jednak nie tylko w Szczecinie. Po zapoznaniu się z wynikami dotychczasowych badań, prace nad uruchomieniem prototypowego aparatu włączono do Centralnego Planu Badawczo-Rozwojowego.

JUSTYN OPARA

Fot. **autor i M. Matejski**

Za chwilę rozpocznie się próbne zanurzenie...

Zbiórka na Łuk

PARYŻ (PAP). Specjaliści biją na alarm: duma Francji, symbol jej świetności — Arc de Triomphe jest zagrożony. Zaczyna się rozsypywać: odpadają fragmenty rzeźb, pękają płyty kamienne, wykrusza się spoiwo. Gdy rok temu angielski turysta został kawałkiem fryzu poważnie ranny w głowę, postanowiono założyć pod sklepieniem siatkę ochronną. Kombatantom zbierającym się przy Łuku zalecono trzymać się co najmniej 6 metrów od niego, a prezydenta odwiedzającego w czasie uroczystości oficjalnych Grób Nieznanego Żołnierza poproszono, by zbyt długo nie zabawiał w niebezpiecznym miejscu... Pomnik mający przypominać lata chwały oręża francuskiego — dziś sam prosi o wsparcie.

Budowla stoi już ponad 150 lat. Decyzję o jej wzniesieniu podjął Napoleon Bonaparte, chcąc uczcić czyny swojej armii. Budowę Arc de Triomphe, wzorowanego na łuku cesarza Konstantyna znajdującym się w Rzymie, rozpoczęto 15 sierpnia 1806 r. Prace przerwano w 1814 r. i wznowiono dopiero w 1823 r. na polecenie Ludwika XVIII. Odsłonięcie nastąpiło 29 lipca 1836 r. za rządów Ludwika Filipa. Na wewnętrznych ścianach Łuku wykuto nazwy 128 bitew z czasów Rewolucji i Cesarstwa, w tym czterech miejscowości polskich, gdzie rozegrały się bitwy: Pułtusk (1806), Ostrołęka, Lidzbark Warmiński (Heilsberg) i Gdańsk (1807), a także nazwiska 662 marszałków i generałów, którzy zasłużyli się w tych bitwach. Wśród nich — Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Zajączka, Kniaziewicza, Chłopickiego i Lazowskiego (który na czele rewolucyjnych sankiulotów* 10 sierpnia 1792 r. zdobył szturmem pałac Tuileries).

Największą wartość przedstawiają cztery płaskorzeźby, wykute na tylnej i przedniej ścianie Łuku: najcenniejsza z nich to „Marsylianka" (albo „Wymarsz ochotników w 1792") François Rude'a.

Przyspieszona degradacja materiału budowlanego w ostatnich latach to wynik oddziaływania czynników zarówno atmosferycznych, jak i „cywilizacyjnych". Płytom kamiennym, z których wykonana jest ta licząca 49,5 m wysokości budowla (długości — 45 m, grubość — 22 m) bardzo szkodzą wstrząsy wywoływane kursującymi pociągami metra. Zgubny wpływ wywiera siarka zawarta w spalinach tysięcy samochodów przejeżdżających dziennie przez plac Charlesa de Gaulle'a (do 1970 r. — Plac Gwiazdy), który z racji koncentrycznie zbiegających się tu dwunastu ulic i alei jest bardzo ruchliwym punktem komunikacyjnym Paryża.

Deszcz i śnieg też robią swoje. Wystawiona na deszcze jest zwłaszcza ściana Łuku zwrócona w stronę alei Klebera. Woda uderza tu w powierzchnię z dużą siłą, gromadzi się we wnękach, w zimie zamarza i rozsadza kamień. 20 lat temu dodatkowo osłabiono naturalną odporność budulca. Kamień w pewnym sensie oddycha, a także chroni się za pomocą powłoki, która powstaje z chwilą wydobycia go z kamieniołomu. Otóż w 1966 r. na polecenie ówczesnego ministra kultury, André Malraux, zastosowano do oczyszczenia Łuku metodę sprężonego piasku, co zniszczyło ową nie odtwarzającą się, naturalną powłoką ochronną. Znacznie przyspieszyło to proces erozji budulca.

Uratowanie Łuku Triumfalnego jest sprawą ogromnej wagi — tu przecież odbywają się najważniejsze święta państwowe: w rocznicę rewolucji — 14 lipca, zakończenia pierwszej i drugiej wojny światowej — 11 listopada i 8 maja... Całe przedsięwzięcie będzie bardzo kosztowne — pochłonie co najmniej 30 milionów franków. By temu podołać — postanowiono zwrócić się do obywateli i prywatnych przedsiębiorstw. Ministerstwo ma nadzieję, że darowizny pokryją połowę, a może nawet dwie trzecie niezbędnych wydatków. Zbieranie darów na remont Łuku rozpoczęto 14 lipca 1987 r., w rocznicę zdobycia Bastylii.

---

* **sankiulloci** — patrioci francuscy rekrutujący się z ludu Paryża, stanowili najsilniejszą grupę nacisku w walce z królem i burżuazją.

ANIOŁ ZE SCHRONU TRZY NA TRZY

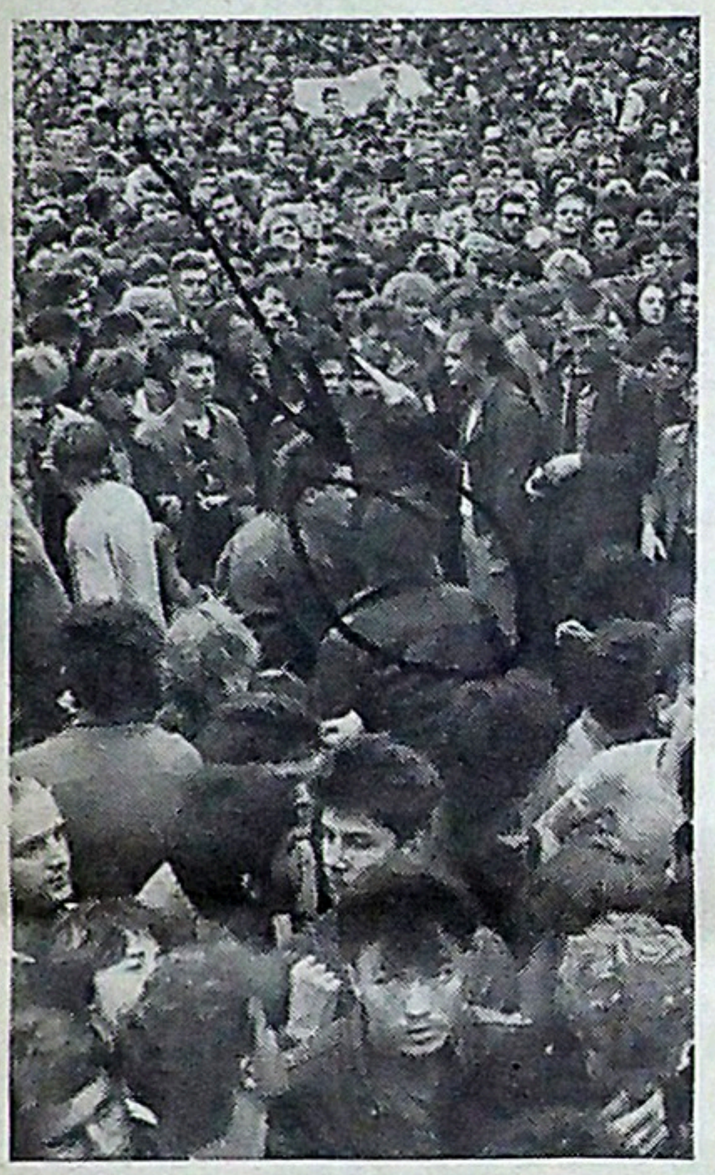

Ma czternaście lat („no, prawie piętnaście"). Metr siedemdziesiąt wzrostu („ale jeszcze rosnę"). I trądzik młodzieńczy na twarzy. I coś, co za kilka lat przekształci się w prawdziwe wąsy. I jeszcze kurtkę z marmurkowego dżinsu kupioną częściowo za uzbierane, częściowo zaś — za wymęczone od rodziców czterdzieści trzy tysiące złotych.

Tak wygląda Anioł.

Kolorowa Madonna i metalowe diabły

Pokój. Jeden z trzech w mieszkaniu. Anioł nazywa go schronem, bo w nim właśnie, założywszy na uszy słuchawki, izoluje się od całego świata. Nie zawsze jednak schron jest szczelny; czasem materializuje się w postaci mających o coś pretensje rodziców lub siostry („wstrętna jędza") uwielbiającej pożyczać („podkradać") co lepsze kasety, plakaty, czasem nawet ciuchy.

Trzy metry długości, trzy szerokości. Na jednej ze ścian przeszklony regał. Na nim kilka książek, zeszytów. Magnetofon, kasety, kilka — niektóre ponaddzierane — nalepek. Słuchawki — niezastąpiona część wyposażenia schronu.

Przeglądam tytuły książek. „Nic ciekawego" — zauważa moje zainteresowanie Anioł. O wiele bardziej godna uwagi — widać to po jego znaczącym spojrzeniu — jest przeciwległa ściana. Cała oklejona plakatami. Zespoły, piosenkarki, piosenkarze, drużyny piłkarskie, pojedynczy piłkarze. Kalejdoskop nazw, twarzy, barw.

Najcenniejszy eksponat to wielka podobizna Madonny („dziś na Skrze chodzi za ponad tysiąc"). Obok, po sąsiedzku, kolorowe zdjęcie kilku długowłosych młodzieńców ubranych w naćwiekowane, wyszywane skóry. I napis: „metal devils" (metalowe anioły).

Anioł włącza magnetofon. La Isla Bonita, jakiś heavymetalowy kawałek, potem jeszcze raz coś ostrego i nagle — jak zgrzyt styropianu o szybę — Modern Talking! Muzyczne pomieszanie z poplątaniem, zupełnie jak wśród plakatów na ścianie, gdzie Lady Pank sąsiaduje z Metallicą, Depêche Mode, CC Catch, Stingiem, piłkarzami Legii i Widzewa.

Ulubiony wykonawca? Chwila zastanowienia, wypełniona przeżuwaniem orzeszków ziemnych. „Iron Maiden" — pada wreszcie odpowiedź.

Anioł, Madonna, diabły...

Tydzień Anioła

Muzyka w aniołowym schronie trzy na trzy metry jest chyba za głośna, bo interweniuje mama. Rozmawiam z nią nie dłużej niż trzy minuty, ale to wystarcza, żeby dowiedzieć się wielu rzeczy o próbującym gwałtownie przerwać naszą rozmowę Aniele. Że za chudy, że nic nie je, że albo włóczy się z kolegami, albo przesiaduje u nich, albo oni u niego, że niczym konkretnym się nie interesuje, tylko ten muzyczny łomot i inne głupoty mu w głowie.

„Może jednak coś dobrego z niego wyrośnie?" — przynajmniej zakończenie tej tyrady jest optymistyczne.

Wracamy do rozmowy. O życiu codziennym. Szkoła — to jasne, że na pierwszym miejscu. Nie ma na to rady. Ze wszystkimi swoimi dodatkami: uczniowsko-nauczycielskimi utarczkami, klasówkami, odrabianiem lekcji, czasem — wagarami.

Uczy się przyzwoicie. Na miarę potrzeb, zainteresowań i możliwości („co prawda rodzice i nauczyciele mówią, że stać mnie na więcej, ale..."). Zupełnie wystarcza mu bycie jednym z najlepszych uczniów w klasie bez łapania opinii kujona. Twierdzi, że na większy wysiłek ma jeszcze czas. Będzie potrzebny za rok, podczas egzaminów do szkoły średniej. W ciągu dnia na naukę poświęca dwie, trzy godziny. Rzadko więcej, chyba że jest jakaś „ekstra klasówka".

Reszta czasu? W tygodniu — spotkania z kolegami, wypady do kina, jakiś mecz między klasami czy podwórkami. Zależy od pogody, nastroju, stanu kasy.

Podobnie jest z sobotami i niedzielami. Czasem wypad na stadion Legii, na giełdę, „małolacka" (do godziny 22) dyskoteka, czasami zaś — zwykłe przesiadywanie na ławce pod blokiem.

Anioł nie cierpi żadnych stałych zajęć — kółek, sekcji, klubów. Nie trawi też harcerzy. Zraził się do nich kilka lat temu, gdy nieopatrznie, za namową paru kolegów poszedł na zbiórkę. Jedną, potem drugą i jeszcze trzecią; wszystkie one były jednakowo nudne, a może nawet jedna nudniejsza od drugiej. Gdy więc kolejna zbiórka (nie ma zielonego pojęcia, po co na nią poszedł) nie odbyła się, bo nie zjawił się drużynowy — Anioł dał sobie spokój z zielonym mundurem, którego na szczęście rodzice nie zdążyli mu kupić, czekając, czy aby ta cała zabawa w harcerstwo nie jest kolejnym płomieniem słomianego ognia. Okazało się, że mieli rację.

„Robię tylko to, co chcę; mam ochotę to leżę, idę połazić, czytam coś. Nikt mnie do niczego nie zmusza. Nawet rodzice nie nalegają, żeby chodzić z nimi na wizyty rodzinne."

Anioł i Irokezy

Nigdy nie pociągały Anioła grupy punków, skinów, metalowców i innych „zwariowańców", jak mawia mama. Być może stało się tak dlatego, że ani w szkole ani na podwórku nie widzi się żadnych załóg. Ot, czasem przemknie się jakiś pojedynczy agent z zielonymi włosami czy wymalowaną starą dżinsową kurtką.

Czy jednak nie należy tylko dlatego, że nie ma możliwości?

„Nigdy bym się nie ostrzygł na Irokeza czy do gołej skóry. Po co? Oni podobno w ten sposób protestują; wszystkich, którzy nie są do nich podobni uważają za śmiecie niewarte zainteresowania, które trzeba tylko kopać i opluwać. Przynajmniej tak się ich opisuje w radiu czy telewizji, robiąc z tego przy okazji wielką sensację. Też mi sensacja, że paru czubów wygląda jak debile. Ale skoro chcą — ich sprawa. Ja jak chcę zaprotestować — to po prostu mówię, co mi się nie podoba. Starzy nazywają to pyskowaniem, ale mi taka forma protestu zupełnie wystarcza. Tym bardziej, że z rodzicami potrafię się dogadać, a z nauczycielami dyskutować z reguły nie warto, bo niektórzy traktują nas niemal tak samo jak punki czy skiny — jak zera.

A co do tych podkulturowców — jedyne co mi się podoba to skórzane kurtki metalowców. Chciałbym mieć taką. Ale cała reszta — te ideologie podpierane bijatykami, narkotykami i nie wiadomo czym jeszcze... Bez sensu!"

Aniołowe marzenia

Ustawić się. O tym marzy chyba każdy. Anioł też. Ale jak? Tego jeszcze nie wie. W ogóle nie wie, co będzie robił w przyszłości. „Jakieś liceum, potem jakieś studia..." Jeszcze tyle czasu, tyle rzeczy może się zmienić.

Wystarczają plany na najbliższą przyszłość. Żeby Kaśka z siódmej „B" spojrzała na niego przychylniej, żeby najlepszy gracz drużyny, z którą jutro rozgrywają mecz piłkarski, złamał lub przynajmniej skręcił nogę, żeby rodzicom udało się załatwić wczasy w Bułgarii.

„Bo to warto mieć dziś wielkie plany?" — zastanawia się. Ojciec kiedyś mówił, że marzenia trzeba dostosować do rzeczywistości, tak, żeby miały szansę się spełnić. Może to i racja. Rodzice zaplanowali, że będzie przyzwoitym chłopakiem i — proszę — jest. Nie pije, nie kradnie, nie ucieka z domu, uczy się nieźle — to wystarczyło do zaspokojenia rodzicielskich aspiracji: wystarczyło do tego stopnia, że kiedyś rozrzewniona mama niechcący przy kolegach powiedziała: „mój synuś, mój anioł" i to przezwisko przylgnęło na stałe.

„A może faktycznie, skoro nie piję, nie ćpam i nie kradnę — to jestem aniołem?" — zastanawia się Anioł.

JAROSŁAW MACHOWIAK
Fot. **Mieczysław Włodarski**

DAR MARIANA WALCZAKA W BIBLIOTECE RACZYŃSKICH

POZNANIOWI — DARY SERCA

Na obiedzie wydanym na cześć 50-lecia pracy pisarskiej Józefa Ignacego Kraszewskiego w 1879 roku podano: barszcz, zupę jarzynową, paszteciki rozmaite, łososie, pstrągi, sandacze, polędwicę, „à la financiere", sarnę, zające, kuropatwy, kapłony, pulardy. A do tego: kalafiory, groszek zielony oraz sałatę. Pito wina węgierskie i nie tylko, a na deser uraczono się: kompotem mieszanym, lodami owocowymi, serami, owocami i kawą. Uroczystości, jakie zgotowano Kraszewskiemu, nie miały sobie równych. Odbyły się w Krakowie, a ów obiad, dość obfity, zakończony balem, miał miejsce w odrestaurowanych Sukiennicach i był jedynie drobnym akcentem podczas tych uroczystych dni.

Ten najpracowitszy z pisarzy, parający się i dziennikarstwem i wydawaniem gazet i pamiętników, był również historykiem i malarzem, a także muzykiem — przyjmował hołdy od czytelników i redaktorów z całej, wówczas nie istniejącej na mapie Polski. Oprócz przemówień, w których podnoszono jego zasługi jako artysty i działacza, ofiarowano mu wiele niesłychanie pomysłowych prezentów. Owe hołdy były zasłużone jak najbardziej. Kraszewskiego, którego nazywano człowiekiem-instytucją znano jako prawdziwego tytana pracy. Poświęcono mu też wiele żartobliwych rysunków przedstawiających go jako wielorękiego twórcę. Był również postacią polityczną i opiniotwórczą, upominając się na Zachodzie Europy o swój kraj i naród. Trudno wprost zliczyć, czym się zajmował. Jego jubileusz był okazją do wielkiej patriotycznej manifestacji!

Menu obiadowe przytoczyłam jako ciekawostkę z XIX wieku, na dowód, że po tylu latach możemy, dzięki zbieraczom różnych pamiątek, wiedzieć, co 4 października 1897 r. w krakowskich Sukiennicach podawano do stołu. Tego rodzaju pamiątki, nawet jeśli dotyczą tak prozaicznej sprawy jak jedzenie, mają wartość nie tylko dla kolekcjonerów. Gdy trafią do sal wystawowych — stają się wspólną własnością.

Wielce zasłużonym kolekcjonerem wszelakich „kraszewscianów" jest **Marian Walczak** z Poznania. Właściciel niepozornego z wyglądu, ale o wielkich tradycjach rodzinnych, sklepu-wytwórni sztucznych kwiatów poświęcił kilkadziesiąt lat swojego życia na gromadzenie dzieł z zakresu księgoznawstwa i bibliologii", a następnie wszystkiego co dotyczy najpłodniejszego polskiego pisarza. Uczestnicząc w wielu aukcjach książek stał się pan Marian cenionym w świecie znawców bibliofilem. Zgromadził kilkanaście tysięcy bardzo cennych wydawnictw, wśród nich pierwsze wydania dzieł Kraszewskiego, oraz książek, które temu pisarzowi poświęcono. Zgromadził portrety i medale z jego wizerunkiem, rzeźby oraz wiele drobiazgów, jak na przykład malowane piórkiem chustki do nosa, które delegacja z Żytomierza przywiozła wraz z innymi darami z Krakowa.

Zbiory tego bardzo skromnego człowieka z Poznania stały się ozdobą niejednej wystawy poświęconej autorowi: „Starej baśni". Przed dziewięciu laty, w maju, Marian Walczak sporządził akt darowizny, przekazując swoje skarby miastu, w którym się urodził — Poznaniowi. Zgromadzono je — jeszcze nie wszystkie — w kamieniczce na Starym Mieście przy ulicy Wronieckiej 14.

„Muzeum-Pracownia Józefa Ignacego Kraszewskiego" przyciąga uwagę nie tylko szkolnych wycieczek, ale dostarcza przede wszystkim materiałów źródłowych tym wszystkim, którzy naukowo interesują się Kraszewskim. Dzięki zbiorom Mariana Walczaka napisano już prace magisterskie. Ponadto w kamieniczce przy Wronieckiej znajdują się depozyty Muzeum Narodowego w Poznaniu oraz Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Temu bowiem Towarzystwu sam Kraszewski przekazał cenniejsze dary otrzymane w Krakowie podczas uroczystości jubileuszowych.

Można więc dojrzeć m.in. wspaniały rzeźbiony w orzechowym drewnie fotel obity tkaniną, na której rękami Wielkopolanek wyhaftowano herby województw. Bogatą skrzynię przeznaczoną na przechowywanie numizmatów, których pisarz był zbieraczem, ofiarowaną mu przez warszawskich subiektów wyznania mojżeszowego. Wieniec laurowy ze srebra według projektu znanego malarza, Juliusza Kossaka, to dar miasta Krakowa.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

1

2

Na zdjęciach:

1. Autor „Starej Baśni", „Hrabiny Cosel", „Rzymu za Nerona" i setek innych książek przedstawiony w karykaturze Franciszka Kostrzewskiego zatytułowanej: kuźnia tytana pracy

2. Józef Ignacy Kraszewski na fotografii z roku 1862

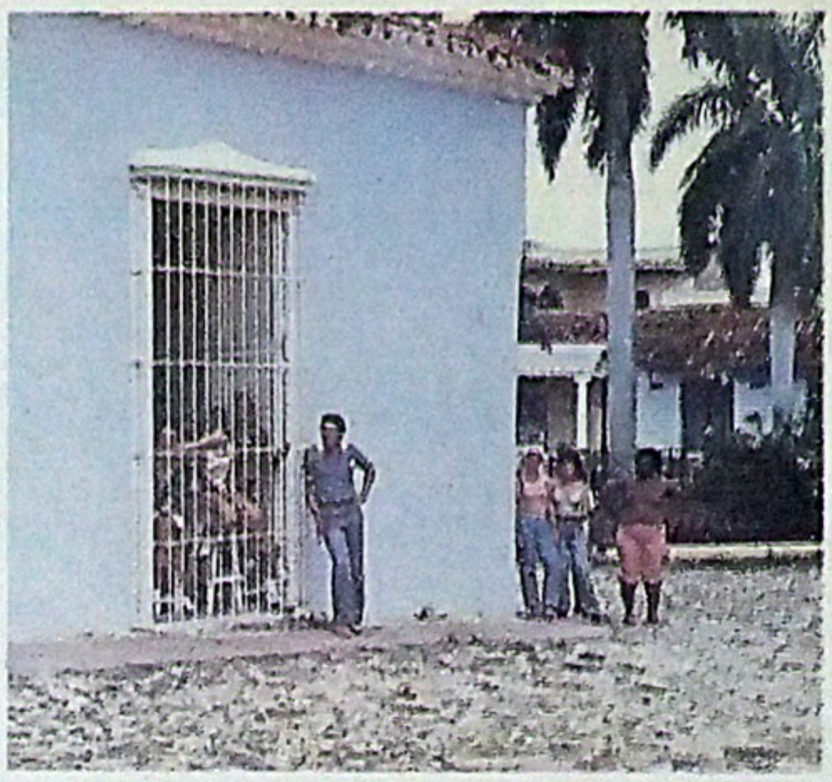

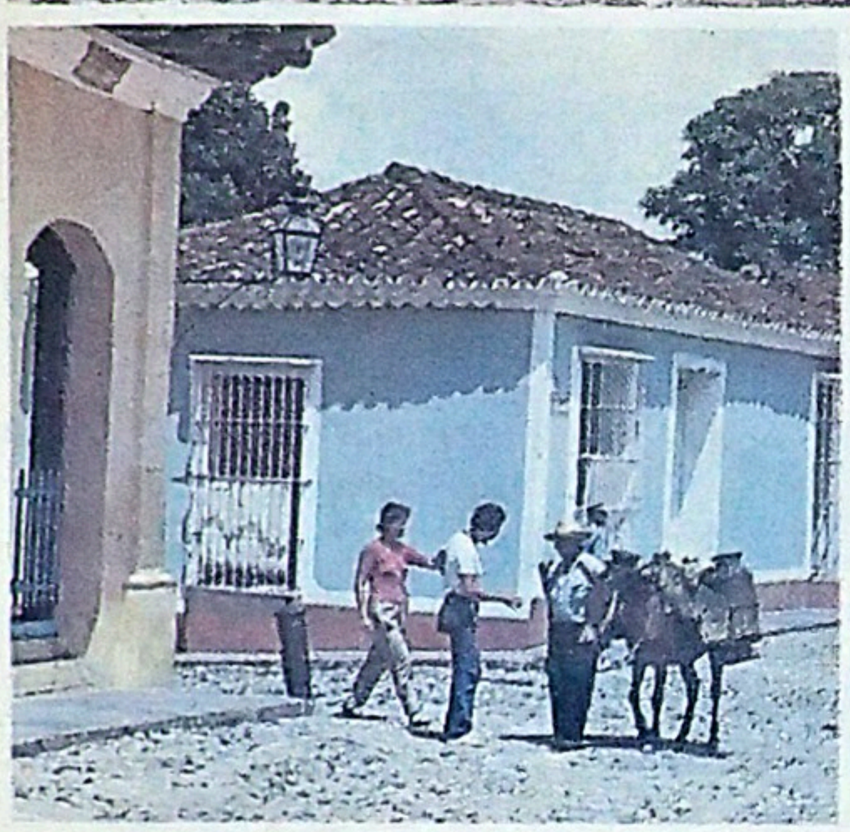

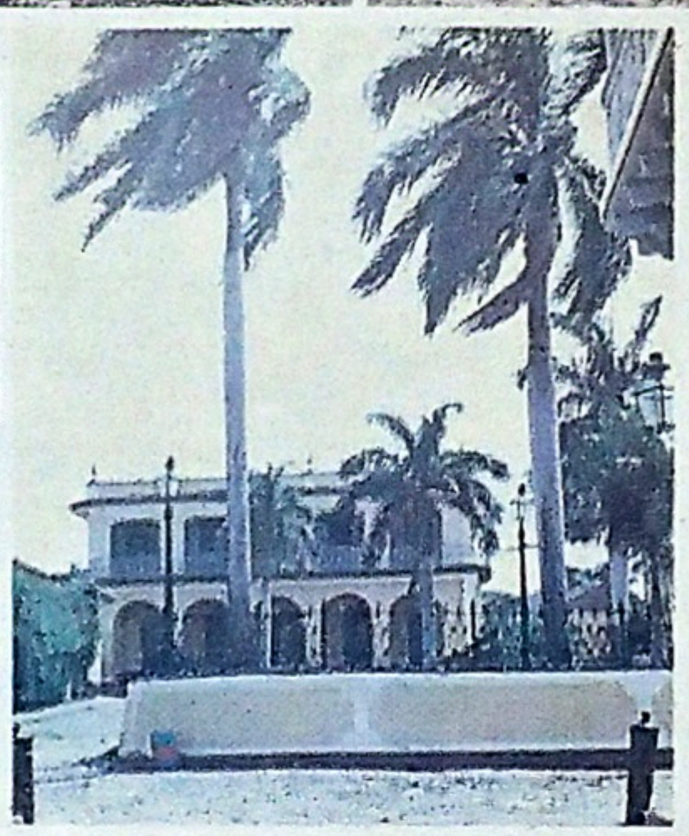

I TYLKO PIRACI TU TAŃCZĄ

Zwykły, powszedni dzień, a centrum miasta jakby wymiecione. Na rynku jest cicho i sennie, jedynie kiście dostojnych palm poddają się ulegle anemicznym powiewom wiatru. Zbliża się południe, może więc gorące tropikalne słońce zapędziło mieszkańców na sjestę, w cień przydomowych patio?

TRYNIDAD: miasto-muzeum Kuby. Powstało zaledwie kilkanaście lat potem jak Krzysztof Kolumb z flotyllą trzech statków dobił do wybrzeży Kuby i odkrył tę wspaniałą wyspę dla Europejczyków. Przetartym już szlakiem podążyli potem hiszpańscy konkwistadorzy dowodzeni przez Diego Velázqueza i zagarnęli Kubę dla hiszpańskiej korony. Właśnie Velázquezowi przypisuje się założenie Trynidadu w 1514 r. Centrum wyspy, zaledwie kilka kilometrów od wybrzeża Morza Karaibskiego, a więc znakomita baza do rozwijania handlu i przygotowywania wypraw morskich.

W połowie XVII wieku Trynidad był już liczącym się miastem. Handlowano tytoniem, solonym mięsem, skórami ale przede wszystkim cukrem. Potrzebowała go i Europa, i Stany Zjednoczone. Mnożyły się więc plantacje trzciny cukrowej, do których obsługi sprowadzano z Afryki tysiące niewolników. Bogacący się w szybkim tempie plantatorzy część swych zysków poczęli lokować w wystawnych willach-pałacykach wzorowanych na budowlach z hiszpańskich prowincji — Kastylii i Andaluzji. Z Europy przywożono rzemieślników, meble, marmury, przedmioty zbytku. Sława bogatego miasta niosła się po świecie, w efekcie nierzadko grasujący po morzach piraci zapuszczali się w głąb lądu i bezlitośnie je łupili. Ale Trynidad zaczął podupadać dopiero wówczas, gdy skończyła się hossa na cukier, mniej więcej w drugiej połowie XIX w. Dziś miasto liczy około 60 tys. mieszkańców, szczyci się głównie przemysłem papierniczym, no i oczywiście swym zabytkowym centrum.

Przylegające do rynku pałacyki starannie odrestaurowano i przeznaczono na obiekty muzealne. Do niewątpliwie najpiękniejszych należy pałac książąt Brunet, zbudowany w 1740 r., w którym znalazło teraz siedzibę Muzeum Romantyczne. Czternaście sal, a w nich wspaniałe, rzeźbione kredensy ze srebrem, porcelaną, kryształami, łoża zdobione masą perłową, przepiękne posadzki z włoskiego marmuru i sufity z drewna cedrowego. Na ścianach freski z motywami kwiatowymi (dużo róż) i wspaniałe obrazy. Mnóstwo waz, amfor, bibelotów, przedmiotów codziennego użytku i zbytkownych.

W okolicach rynku są jeszcze inne muzea: historyczne, przyrodnicze, archeologiczne i historii walk rewolucyjnych. Ale nie ma tu sklepów, butików, kafejek i dlatego zazwyczaj rynek jest cichy i senny. Nie mają tu prawa wjazdu samochody: wstęp tylko dla pieszych i... osiołków. Centrum ożywa wówczas, gdy z przyległych uliczek wysypią się przywiezione autokarami grupy turystów. Kiedy już obejrzą muzea, posmakują kolonialnej architektury, to gospodarze zaproszą ich na występ miejscowego zespołu folklorystycznego. Posłuchają kubańskich pieśni, obejrzą piracki taniec. Muzyka i śpiew przyciągną także miejscowych, którzy na co dzień rzadko tu zaglądają.

MARIA JAWORSKA
Fot. **autorki**

Akt podpisania darowizny (maj 1979 r.) w mieszkaniu poznańskiego rzemieślnika Mariana Walczaka (w środku). Z lewej strony żona — Maria, z prawej prezydent miasta Poznania — Andrzej Wituski

Fot. **archiwum**

CIĄG DALSZY ZE STR. 4

Pewien eksponat znajdujący się jeszcze w mieszkaniu Mariana Walczaka ma dość niezwykłą historię. Przed dwoma laty pan Marian opowiedział mi, że jego szkolny kolega — ksiądz, „chodząc po kolędzie" zauważył, iż figura, przed którą w jednej z rodzin urządzono domowy ołtarzyk, przedstawia ni mniej ni więcej tylko Kraszewskiego, choć traktowana jest jak statuetka św. Józefa... Na prośbę pana Walczaka niebawem ksiądz ponownie odwiedził swoich parafian i zapytał: co by sobie życzyli zamiast figury pisarza? Otrzymali zakupioną w sklepie Ars Chrystiana statuę św. Józefa, a rzeźba Kraszewskiego trafiła do zbiorów kolekcjonera.

Między zbieraczem a pisarzem wytworzył się bardzo osobisty stosunek. Co roku, 19 marca, w rocznicę śmierci Kraszewskiego i w dzień jego imienin, pan Marian zapalał świeczki, stawiając je przed ogromnym, wyciosanym na własny koszt kamieniem przedstawiającym głowę pisarza. Kamień ten — prywatny pomnik — znajduje się w lesie w Kmieńsku obok letniego domku poznańskiego rzemieślnika.

Marian Walczak zmarł w grudniu 1987 roku. Jeden z jego synów przejął zainteresowania swojego ojca i być może nie jest to ostatni rozdział w gromadzeniu pamiątek po Kraszewskim w rodzinie Walczaków z Poznania. Dzięki takim ludziom trafiają do muzeów wspaniałe zbiory wzbogacające całe społeczeństwo i przynoszące chlubę miastu, które ma takich obywateli.

ANNA GRZYBOWIECKA

* **Bibliologia — nauka o książce, obejmująca całokształt teoretycznych i praktycznych wiadomości dotyczących wytwarzania książki, obiegu wśród czytelników i wpływu na nich.**

Merci, Michel

Michel Platini — to nazwisko mówi samo za siebie. 32-letni Francuz przez 14 lat zadziwiał swą grą na boisku futbolowym miliony kibiców. Jego talent pracowitość i silna wola postawiły go na szczycie piłkarskiego Olimpu. Oprócz tytułu mistrza świata zdobył wszystkie możliwe wyróżnienia, które piłkarz może wywalczyć. Gdy poczuł, że jego piłki tracą celność, po długich rozważaniach, zdecydował się zerwać z futbolem. Oto co mówi sam o sobie:

„Ta decyzja była dla mnie bardzo ciężka. Ostatnich 10 minut spotkania ligowego, które kończyło moją karierę, nigdy nie zapomnę. Okropna była i noc przed meczem. Długo nie mogłem zasnąć, ponieważ ciągle zastanawiałem się nad trafnością decyzji. Ale obudziłem się już trochę spokojniejszy. Poszedłem się przebiec, aby odzyskać równowagę psychiczną. Chciałem aby ten ostatni mecz pozostawił dobre wrażenie, co też się stało.

Teraz właściwie zaczynam zupełnie inne życie, diametralnie różniące się od tego, które prowadziłem do tej pory. Zazwyczaj w życiu bywa tak, że wysiłki nie zawsze są nagradzane. Wiem o tym, ale mimo wszystko jestem optymistą. Wierzę, że jeżeli do moich nowych zadań i obowiązków będę podchodził z takim samym uporem jak do piłki, to rezultat musi być pozytywny!

A jakie będą nowe obowiązki? Mam zamiar pracować w... telewizji. W jednej z francuskich stacji telewizyjnych będę prowadził program rozrywkowy, na który składać się będzie sport, muzyka, moda i inne ciekawostki. Program adresowany będzie przede wszystkim do młodzieży. Poza tym zakładam szkołę sportową w zachodnich Pirenejach w miejscowości Saint-Cyprien. Oprócz regularnej nauki będziemy tam wraz z kolegami — znanymi piłkarzami organizować kursy wakacyjne, podczas których osobiście będziemy uczyć podstaw piłki nożnej.

Zamierzam także poszerzyć sieć moich sklepów sportowych „Platini 10".

We współczesnym świecie najdotkliwszymi problemami są, moim zdaniem, narkomania i alkoholizm. Chciałbym więc aktywnie włączyć się do walki z nimi.

Mogę jednak zapewnić wszystkich, że moja miłość do piłki nożnej na pewno nie osłabnie".

Oprac. **Anita Bokuń**

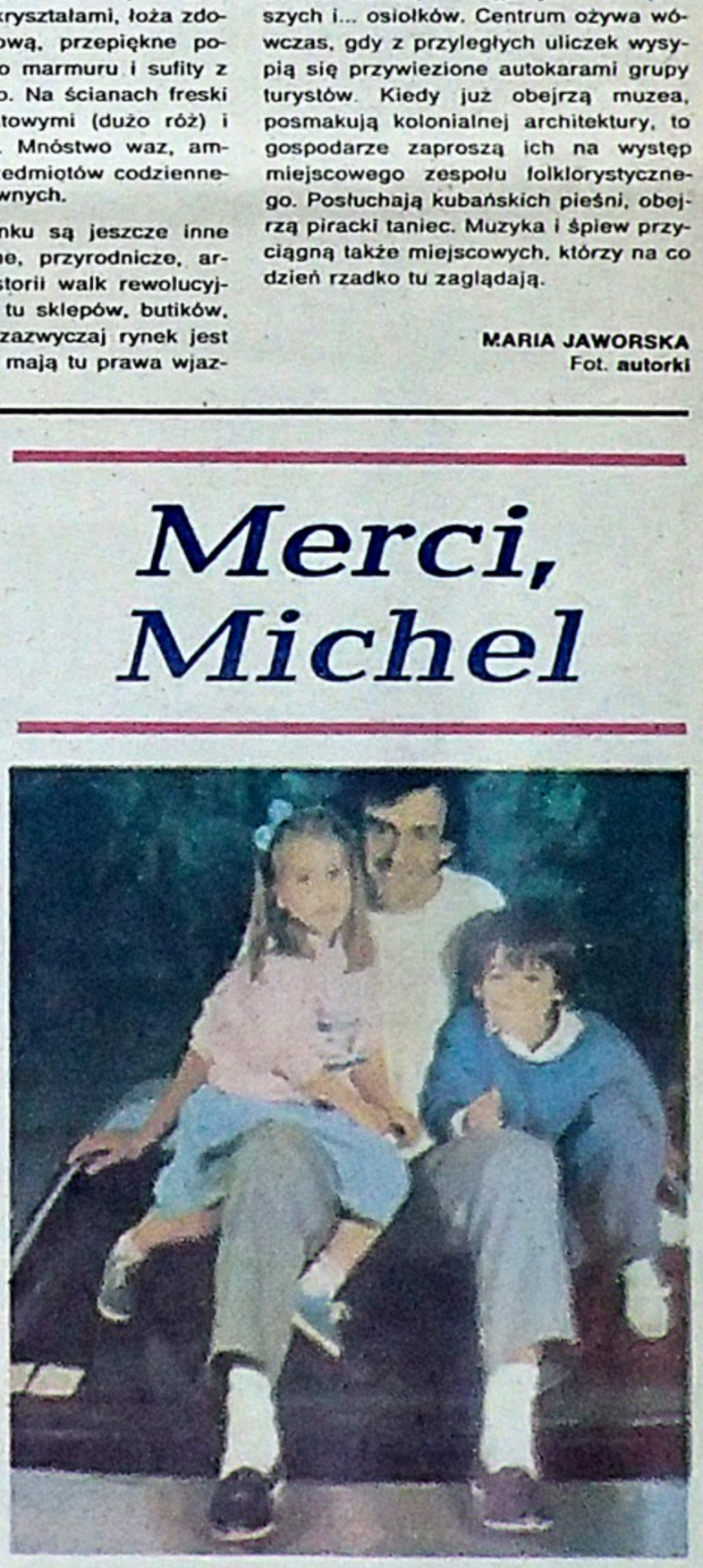

GWIAZDOZBIÓR

Interesuję się filmem. Jak każda nastolatka (mam 14 lat) mam swoich ulubionych aktorów, choć przyznaję — jestem „zmienna" w uczuciach i wciąż kto inny mi się podoba naj, najbardziej. „Gwiazdozbiór" czytam systematycznie, bo zawsze znajduję w nim coś dla siebie interesującego. Szczególnie lubię w nim historie optymistyczne, jak to ktoś z Kopciuszka staje się królewną, jak zdobywa sławę już pierwszą rolą, choć nikt w to przedtem nie wierzył, no i potem już zawsze mu się wiedzie. Ostatnio jednak spotykam takie historie coraz rzadziej. Czyżby zawód aktora stawał się coraz mniej romantyczny? Czyżby prowadziła do niego droga jedynie przez szkołę aktorską? Ja wiem, że tak jest najczęściej, ale proszę, nie odbierajcie nam tak całkiem złudzeń. Czasem miło jest pomarzyć...

Nie wiem, czy się nie wygłupiłam więc nazwisko podaję tylko do wiadomości redakcji. **Irka z Sosnowca**

Dziękuję Ircе za miły list i zgadzam się z tym, że miło pomarzyć. I chyba jednak nie jest tak źle w naszych opowieściach o ludziach filmu — przewija się w nich motyw „optymistyczno-romantyczny". A że podkreślamy, iż samo szczęście, nie poparte technicznymi umiejętnościami i talentem dziś nie wystarcza — to fakt. Po prostu tak jest. Jeśli nawet film odkrywa kogoś na ulicy — to szczęśliwiec ów „połknąwszy bakcyla" musi solidnie pracować i wykazać się nawet większą siłą woli i świadomością, co chce osiągnąć, niż inni, którzy się zawodu nauczyli w szkole. „Odkrycia" w kinie zdarzały się jednak zawsze i będą się zdarzać. Jest nim również dzisiejsza bohaterka rubryki — Wiera Głagolewa, obecnie jedna z najpopularniejszych radzieckich aktorek. Jej historię dedykujemy Ircе.

W tej chwili Wiera Głagolewa ma prawie 30 lat, jest wziętą aktorką, szczęśliwą żoną i matką dwóch dziewczynek — 8-letniej Maszy i 6-letniej Ani. Sama wciąż wygląda jak młoda dziewczyna i takie też bohaterki najczęściej kreuje na ekranie. Nigdy nie przypuszczała, że tak właśnie ułoży się jej życie. Jeśli myślała o karierze — to raczej o karierze sportowej. Ta szczupła, subtelna dziewczyna z wielkim zapałem i doskonałymi efektami trenowała łucznictwo.

Nie podejrzewał tego też mężczyzna, który śpieszącą na tening Wierę zaczepił na ulicy. Był to aktor i debiutujący reżyser Rodion Nadapietow, który przygotowywał się do nakręcenia filmu „Na kraj świata". Myślał wówczas bez przerwy o swym filmie. Subtelna buzia dziewczyny, naturalny wdzięk jej ruchów zwrócił jego uwagę. Z całą powagą i przekonaniem zaproponował jej rolę w swoim filmie.

Wiera do dziś nie pojmuje, jakim cudem nie poczytała propozycji tego przystojnego młodego człowieka za żart. Ale może właśnie dlatego, że był taki przystojny i zażenowany. Potem, już na filmowym planie kilkakrotnie zwątpiła w siebie — o aktorstwie nie miała pojęcia. Ale Rodion uspokajał ją — *Bądź po prostu sobą*. Został jej mężem i, co do dziś aktorka podkreśla — wymagającym nauczycielem zawodu. Bo Wiera, mimo że po ukończeniu pracy w tym filmie nie była z siebie zadowolona — rzeczywiście „połknęła bakcyla". Postanowiła zostać aktorką i to dobrą.

Wiera Głagolewa — aktorka z przypadku

Ostatecznie uwierzyła, że to możliwe, gdy przyjęła rolę w ekranizacji sztuki Gorkiego „Wrogowie". Zagrała w niej Nadię, dziewczynę z innej epoki, inaczej mówiącą, myślącą... Udało się. Jednak zdecydowanie pewniej czuła się w rolach współczesnych. Zagrała więc Warię w filmie, potem „W czwartek i nigdy więcej", młodą bohaterkę TV — filmu „Nie strzelajcie do białych łabędzi"... Równocześnie zaocznie „douczała się" w WGiKu. Jak i inni studenci, którzy nie mieli jeszcze pozaszkolnych: teatralnych i filmowych doświadczeń, zagrała w przedstawieniu dyplomowym pt. „Bariera". Na WGiKu odkryto też, że Wiera potrafi śpiewać. Namówiono ją więc, by wzięła udział w poetyckim musicalu filmowym: „Słucham, słyszę".

Z każdym rokiem wachlarz aktorskich możliwości Wiery powiększa się. Pierwsze jej role to były kreacje kobiet delikatnych, kruchych, szlachetnych i bezbronnych — do nich przede wszystkim predestynowała ją jej uroda. Z czasem okazało się, że potrafi być nie tylko liryczna, ale też stanowcza, silna, przekorna, nawet autoironiczna. Wielkim sukcesem uwieńczony był jej udział w komedii „Wyjdź za mąż za kapitana" w reż. Witalija Michnikowa. Ten film możecie oglądać obecnie na naszych ekranach. Za rolę Jeleny — samotnej fotoreporterki, została okrzyknięta w swoim kraju aktorką roku 1986.

Pracy w innym zawodzie już sobie nie wyobraża. *Co by to było, gdybym nie została aktorką?* — zadaje retoryczne pytanie. I odpowiada: — *Naprawdę nie wiem.*

Opracowała **EWA BIELSKA**

DOM MODY świata młodych

MINI MINI MINI

Mini-spódniczki, uważane jeszcze rok temu za błysk-dziwactwo, w ogóle nie przejmują się sceptycznymi uwagami na swój temat i... rozpychają się łokciami. Coraz ich więcej, a gdy zrobi się prawdziwe lato — będzie ich na pewno mnóstwo. I nic dziwnego, bo dla szczupłych dziewczyn o zgrabnych nogach jest to strój wymarzony. Po pierwsze dlatego, że ładnie w nich wyglądają, po drugie dlatego, że wygodniej jest się poruszać w króciutkiej niż w takiej, co się plącze dookoła kolan i łydek, a po trzecie — jest to ciuch tani. Mini-spódniczkę można uszyć ze skrawka materiału, więc koszt nie jest zbyt wielki.

Istnieją (równorzędnie) dwa podstawowe fasony mini-spódniczek. Pierwszy — to spódniczka bardzo obcisła i równocześnie bardzo króciutka — ot, taki... futeralik na pupę. Drugi — to spódniczka szeroka — plisowana, marszczona kloszowa. Jest troszeczkę dłuższa, bo przy chodzeniu wiruje i rozwija się, więc gdyby była zbyt skąpa, to by było widać całe majtki. Od czasu do czasu zresztą ukazuje je, ogromnie jest więc ważne, aby były one nie tylko czyste, ładne i całe (to chyba zresztą oczywiste), ale i zgrane kolorystycznie z resztą stroju. Ze spódniczką właśnie, albo — powiedzmy — z bluzką. Np. czarna bluzka — czarne majteczki, czerwona bluzka — majteczki też czerwone itd.

Te spódniczki obcisłe wymagają znakomitego uszycia, aby rzeczywiście dobrze na figurze leżały. Natomiast te bardzo szerokie są w gruncie rzeczy szalenie proste (przynajmniej niektóre z nich) i każda dziewczyna, która jako tako włada igłą może sobie sama taką uszyć, nawet... ręcznie. Szwy są przecież znacznie krótsze niż przy spódnicy długiej, więc i roboty jest mniej.

Można również skracać spódniczki już posiadane, to jeszcze mniej pracy.

Zanim jednak się do niej zabierzecie, proszę o jedno — stańcie przed lustrem i obejrzyjcie się dokładnie. Mini-spódniczka to bowiem rzeczywiście strój wymarzony dla dziewcząt, ale wyłącznie dla tych, które są szczupłe i mają zgrabne nogi, a przede wszystkim szczupłe uda. Wyglądają w nich naprawdę świetnie. Ale tylko one. Tym zaś z Was, dla których natura była... hm, zbyt hojna, radziłabym się jednak wstrzymać. Inne długości spódnic są równie modne i równie powszechnie noszone, po co się więc wygłupiać?! Nie zawsze i nie dla każdego najkorzystniejsze jest akurat to, co najbardziej modne. Przykro mi bardzo, ale to jest prawda.

RIUSZKA

TA FIGURKA LICZY SOBIE OKOŁO... 5000 LAT!

Archeolodzy dokonali na Cyprze sensacyjnego odkrycia. W zachodniej części wyspy odkopali 20 kamiennych siedmiocentymetrowych figurek, przeważnie kobiecych. Zdaniem naukowców są one związane z lokalnym kultem kobiety. Figurki przyczynią się do rozwoju badań nad tworzeniem wierzeń religijnych w starożytności.

Fot. **CAF AP**

SZTUCZNA KREW

(PAP). Naukowcy z Technion-Israel Instytute of Technology w Haifie w Izraelu wyprodukowali sztuczną krew. Może ona być stosowana w nagłych wypadkach, gdy nie ma wystarczającej ilości krwi odpowiedniej grupy. Substancja krwiopodobna z Haify zastępuje krew ludzką każdej grupy, może jednak krążyć w ustroju bez szkody dla organizmu tylko przez 72 godziny.

Dawno... niedawno...

D-day

Na początku czerwca 1944 roku sytuacja wojenna w Europie była mniej więcej taka: na wschodzie Armia Radziecka, która wyzwoliła już większość obszaru ZSRR oraz część przedwojennych wschodnich terytoriów Polski i Rumunii, gotowała się do kolejnej ofensywy. Na południu wojska aliantów, po przełamaniu linii Gustawa i Hitlera (z głównym punktem oporu na Monte Cassino), zajęły Rzym. Sprzymierzeńcy niepodzielnie panowali w powietrzu (z monotonną regularnością bombardując niemieckie ośrodki przemysłowe, miasta i szlaki komunikacyjne) i na szlakach morskich — na Atlantyku i Morzu Śródziemnym.

Niemcy, mimo iż w tym czasie dysponowali tak wielką armią jak nigdy dotychczas (360 dywizjami) znajdowali się w odwrocie. Brakowało im wszystkiego: ludzi do pracy, surowców, środków transportu, ropy, żywności, stali, broni i samolotów. Nie było już możliwe prowadzenie wojny z trzema największymi i najsilniejszymi ekonomicznie państwami świata: ZSRR, Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią.

6 czerwca 1944 roku nastąpiło to, czego Hitler obawiał się najbardziej: alianci otwarli zachodni front w Europie. Odtąd trzeba było prowadzić wojnę na dwa fronty.

Tego ranka plaże Normandii zapełniły się żołnierzami lądującymi wprost z morza, z kanału La Manche. Nic ich nie mogło powstrzymać. I mimo iż niemiecki sztab generalny spodziewał się inwazji sprzymierzonych wojsk na zachodnią Europę, to zarówno data operacji, jak siła uderzenia i miejsce lądowania stanowiły ogromne zaskoczenie. **D-day** zatem, bo tak nazwano pierwszy dzień inwazji, był niesłychanie nieprzyjemną niespodzianką dla hitlerowskich generałów. Bo też trzeba przyznać, że wybór miejsca był — z punktu widzenia teoretyków wojskowych — niekonwencjonalny. Brytyjczycy i Amerykanie wsparci przez Kanadyjczyków i Polaków lądowali w bodaj najszerszym miejscu Kanału, w rejonie rzeki Orne (spróbujcie znaleźć na mapie). Do tego wywiad aliancki wywiódł Niemców w pole, stwarzając wrażenie, że inwazja nastąpi albo w rejonie Pas-de-Calais, albo w okolicach Hawru, i że jej termin to co najmniej połowa czerwca. Zaskoczeniem była także wielkość armii inwazyjnej, bowiem do operacji zaangażowano aż 5 tysięcy okrętów wojennych i 4 tysiące statków transportowych (uczestnicy D-day wspominali, że kanał w tych dniach składał się ze statków i gdzieniegdzie z wody), oraz 11 tysięcy samolotów bojowych i 2 tysiące transportowych. Niemcy zaś dysponowali sześćdziesięcioma dywizjami dla obrony swojego całego frontu zachodniego rozciągającego się od Holandii do południowej Francji. Dwa tygodnie później, 20 czerwca, Armia Radziecka rozpoczęła ofensywę, wiążąc pozostałe siły niemieckie.

Od początku operacji **„Overlord"** (tak nazwano lądowanie w Normandii) do końca II wojny w Europie upłynęło 11 miesięcy. Trzeba było jeszcze *„wiele łez, potu i krwi"*, jak powiedział premier angielski W. Churchill, by zamknąć jeden z najtragiczniejszych rozdziałów w dziejach ludzkości, którego złym bohaterem był Adolf Hitler i jego ideologia.

SZPERACZ

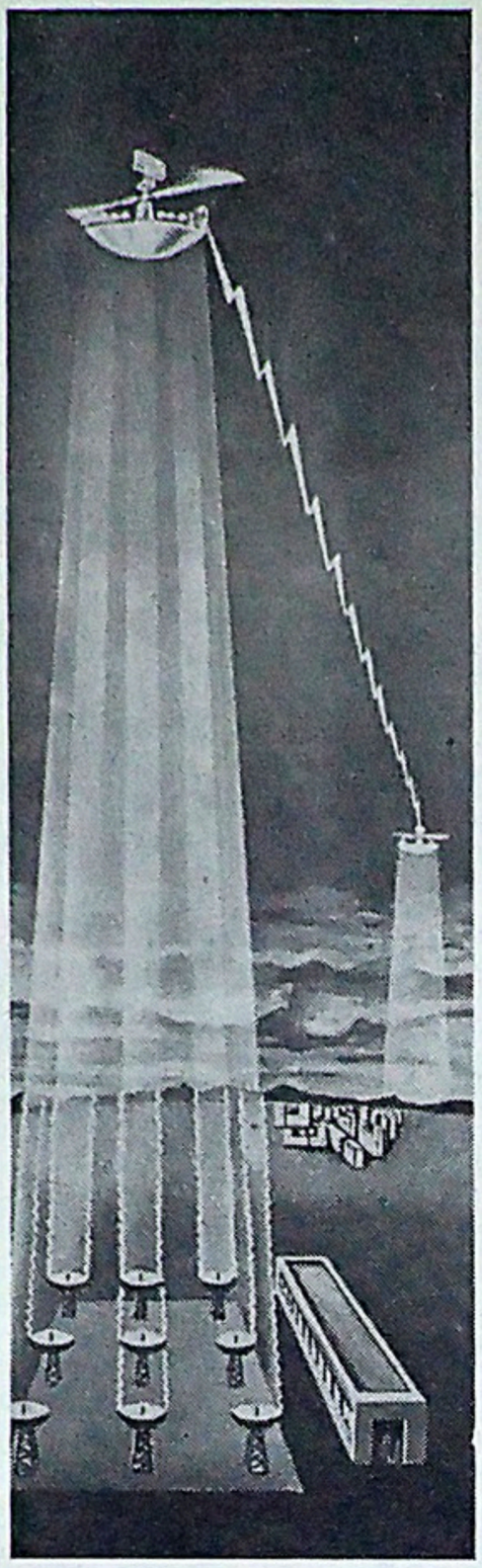

Czy to wizja science-fiction?

ELEKTROWNIA SŁONECZNA W KOSMOSIE

Na wysokości 36 tys. km na orbicie okołoziemskiej ogromna satelitarna elektrownia słoneczna przetwarza promienie słoneczne na prąd i przesyła je na Ziemię. Kilka zwierciadeł zawieszonych w przestrzeni kosmicznej odbija energię skierowaną z powierzchni naszej planety i przesyła ją w inne miejsce. Inne zwierciadła bezpośrednio odbijają światło słoneczne oświetlając w ten sposób całe miasto. Czy to tylko wizje z gatunku science-fiction? Według specjalistów radzieckich zajmujących się „industrializacją przestrzeni kosmicznej" nie są to tylko wymysły uczonych, które nie mają szans realizacji. W niedalekiej przyszłości urządzenia takie będą krążyły w kosmosie przyczyniając się do rozwiązania problemu źródeł energii niezbędnej do rozwoju naszej cywilizacji.

Uczeni już dawno doszli do wniosku, że zwierciadła zawieszone w kosmosie lub baterie przetwarzające energię słoneczną na elektryczną mogą otworzyć drogę do jedynego źródła energii, które jest w zasadzie niewyczerpalne, przynajmniej dla ludzkości — Słońca. Od niedawna uważa się, że rozwój techniki przy niewielkim stosunkowo nakładzie siły roboczej stwarza możliwości zbudowania w warunkach nieważkości potężnych zwierciadeł o wielokilometrowej długości i wadze kilkudziesięciu ton, które w sposób kontrolowany przesyłałyby odbite światło słoneczne na Ziemię.

Po raz pierwszy pomysł taki wysunął amerykański uczony Peter Glaser już przed prawie 20 laty — w 1968 r. Zaproponował on umieszczenie w kosmosie gigantycznych baterii słonecznych o długości ok. 2 km. Te „Kosmiczne satelity energetyczne" o mocy 5 tys. MW mogłyby przesyłać energię na Ziemię za pośrednictwem wiązek mikrofalowych. Początkowo zainteresowała się tym amerykańska agencja kosmiczna NASA. Opracowano nawet projekt testów dla pilotów kosmicznych satelitów energetycznych, ale w końcu wszystkie plany z tym związane odłożono do szuflady.

Nie przestano jednak rozważać tej idei w ZSRR. Co więcej, jak wynika z wypowiedzi specjalistów radzieckich, prace nad gigantycznym przedsięwzięciem nie tylko nie zatrzymały się na akademickiej dyskusji, ale powoli wkraczają w stadium realizacji. Mamy program w tej sprawie i pierwsze jego elementy wprowadzone zostały do obecnego planu pięcioletniego — powiedział akademik Siergiej Sarkisjan podczas obrad Międzynarodowej Federacji Astronautycznej w Sztokholmie, która odbyła się przed dwoma laty.

Radziecki projekt różni się dość istotnie od koncepcji wysuniętej przez Glasera, choć sama idea została oczywiście przyjęta. Zrezygnowano przede wszystkim z wiązek mikrofalowych do przesyłania na Ziemię energii. Wybrano do tego celu lasery. Ponadto zamiast baterii o mocy 5 tys. MW przewiduje się zastosowanie urządzeń o mocy 500 MW, zmniejszając w ten sposób koszty całego przedsięwzięcia.

Niedawno prof. Władimir Kotielnikow, przewodniczący „Interkosmosu" potwierdził, że prace z tym związane są kontynuowane. ZSRR — powiedział — zamierza umieścić na orbicie wielowymiarowe obiekty, m.in. zwierciadła o średnicy 1 km, które będą kierowały światło na baterie słoneczne służące jako elektrownie. Tego rodzaju system opracował zespół pod kierownictwem prof. Żoresa Alfierowa z Instytutu Fizyki im. Joffego w Leningradzie. Zwierciadło takie skupia światło słoneczne w stosunku 1000:1 i ma w zestawie ogniwa słoneczne wykonane z arsenku galu oraz aluminium. Sprawność takich ogniw w przetwarzaniu światła na prąd elektryczny wynosi 27 proc. i jest dwukrotnie większa niż w tradycyjnych ogniwach krzemowych. Przewiduje się, że tak uzyskana energia będzie przesyłana na powierzchnię naszego globu za pomocą generatora laserowego.

W celach doświadczalnych uruchomiono już tego typu urządzenie na Ziemi w Instytucie Badań Energii Słonecznej w Turkmenii. Dzięki tym nowym ogniwom elektrownie słoneczne wysunęły się na pierwsze miejsce, wśród alternatywnych źródeł energii — powiedział Alfierow. **W celu zaspokojenia całego obecnego zapotrzebowania ZSRR na energię elektryczną wystarczyłoby pokryć takimi ogniwami kwadrat o boku 100 km.**

Z kolei odbite światło słoneczne w kosmosie za pomocą kilkunastu luster może zastąpić latarnie uliczne w mieście wielkości Moskwy. Skorzystałoby na tym także rolnictwo. Skierowanie dodatkowej ilości światła słonecznego na pola uprawne na północy Związku Radzieckiego przyczyniłoby się do znacznego zwiększenia zbiorów. Tak odbite światło może przenikać tylko przez bardzo gęste chmury. Umieszczenie takich zwierciadeł w przestrzeni kosmicznej stanowi pierwszy etap realizacji całego przedsięwzięcia. Ma on być zakończony przed upływem obecnego stulecia.

W kolejnym etapie przewiduje się zainstalowanie zwierciadeł przeznaczonych do przesyłania strumienia energii z głównych ośrodków wydobycia ropy naftowej, gazu i węgla z radzieckiego Dalekiego Wschodu do ośrodków przemysłowych w zachodniej części kraju. W ten sposób zmniejszone będą koszty transportu paliw czy tradycyjnego przesyłania energii. System takich satelitów przekazujących energię może powstać w kosmosie na przełomie obecnego stulecia lub w pierwszych latach po 2000 r.

W trzecim etapie przewiduje się również przesyłanie energii, ale po orbicie okołoziemskiej, pomiędzy „fabrykami kosmicznymi", gdzie rozwijana byłaby produkcja w stanie nieważkości. **Ocenia się, że zastosowanie laserów jako środka przenoszącego energię miałoby ogromne znaczenie. Dopiero też wtedy powstaną elektrownie słoneczne na skalę przemysłową.** Będą one miały za zadanie przesyłanie setki megawatów energii otrzymanej z promieniowania słonecznego na Ziemię.

Z pewnością koszty wszystkich prac z tym związanych będą dość duże. Specjaliści są jednak zgodni, że kosmiczne elektrownie mogłyby zwrócić nakłady na transport i budowę urządzeń w ciągu 3–4 lat, a zatem 3–4-krotnie szybciej niż w przypadku elektrowni budowanej na Ziemi.

KĄCIK KORESPONDENTÓW

Szanowny Panie Redaktorze!

Prosiłbym o zamieszczenie mojej oferty odsprzedaży lunet i szkieł optycznych, bo wiem, jak są poszukiwane przez młodzież interesującą się astronomią. Posiadam lunetę własnego wykonania powiększającą około 30 x dającą normalny obraz (nadaje się do obserwacji terenowej). Luneta posiada obiektyw ∅ 68 mm, f = 390 mm, achromatyczny. Okular natomiast jest połową lornetki pryzmatycznej. Posiadam też drugą połowę lornetki pryzmatycznej LP 11 x 40, może być wykorzystana jako mała lunetka powiększająca 11 x, + dodatkowy obiektyw do tejże lunetki. Odstąpię także obiektyw achromatyczny ∅ 68 mm, 7 = 390 mm oraz okular achromatyczny ∅ 7,5 mm, f = 16 mm, z obu soczewek można wykonać dobrą lunetę astronomiczną. Odsprzedam też następujące książki z astronomii: Astronomia ogólna, Astronomia współczesna, Vademecum astronomiczne, Nauczanie astronomii, W kosmos na piechotę (z obrotową mapą nieba), 500 zagadek astronomicznych oraz 25 lat olimpiad astronomicznych.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia

Jestem miłośnikiem astronomii, zakładam Klub Miłośników Astronomii „ORION". Jest nas niewielu (pięciu) i nie mamy odpowiednich instrumentów astronomicznych. Za waszym pośrednictwem prosimy o pomoc w zdobyciu potrzebnych nam części do wykonania teleskopu zwierciadlanego typu Cassegraina lub teleskopu Maksutowa o powiększeniu 100 - 200x. Pisaliśmy do PZO i JZO, ale tam dostaliśmy negatywne odpowiedzi. **Pięciu amatorów astronomii z Rawy Maz.** **Michał**

Astronomią ogólną i układem słonecznym interesują się:

Uwaga, pisząc do kącika korespondentów podaj imię i nazwisko, wiek lub klasę do której chodzisz oraz krótko sprecyzowane zainteresowania. „Świat Młodych" nie bierze odpowiedzialności za treść ogłoszeń i prowadzone między Czytelnikami transakcje finansowo-wymienne.

awanturze do dogadanie się z Wielkim Niedźwiedziem. Po to właśnie wybraliśmy się w drogę. Powrót do leśniczówki nic nie załatwia. Jak możesz, Maks, coś takiego proponować?

— Bo widzisz... pomyślałem, że Bennet ma trochę racji. Czy ich jest sześciu czy dziesięciu, na jedno wychodzi. Rzucą się na was i wezmą do niewoli. Co mi wówczas pozostanie? Nic innego, jak tylko wezwać policję. Czy nie lepiej od razu tak postąpić, a samemu z daleka trzymać się od tej historii?

Ano, Maks Grant miał bardzo kiepskie wyobrażenie o obyczajach czerwonoskórych. Nic dziwnego. Przecież nigdy się z nimi nie stykał i nigdy — w przeciwieństwie do swego ojca — nie wędrował poprzez prerie i puszcze, nigdy nie nocował ani w tipi, ani w wigwamie. Mnie obraz gromadki Indian rzucających się na dwie, pokojowo usposobione blade twarze wydał się wręcz absurdalny. Tak mogło zdarzyć się w walce, ale nigdy podczas wizyty w indiańskiej wiosce. Czyż zresztą musieliśmy się naszym przeciwnikom pokazać? Oczywiście, że nie. Szliśmy przecież na zwiad: podpatrzeć i podsłuchać wojowników Wielkiego Niedźwiedzia lub ich squaw. Kobiety są zwykle bardziej gadatliwe.

Brak psów, a zwłaszcza koni, które, odpowiednio wytresowane, potrafią ostrzec swych panów o zbliżaniu się obcego człowieka, bardzo nam przedsięwzięcie ułatwiał. Powiedziałem o tym Maksowi. Czy go uspokoiłem, czy nie — trudno mi osądzić. Kiwnął głową, wydmuchnął z fajeczki ostatni obłoczek dymu, a potem, uderzając główką fajki o obcas buta, energicznie wytrząsnął z niej resztkę popiołu.

— Czas nam w drogę. Mamy przed sobą jeszcze spory kawałek. Ruszył przodem, za nim Karol, za Karolem ja.

Kroczyliśmy, jak to się często określa, gęsiego, czyli zwyczajem Indian, jeden za drugim. Utrudnia to tropicielowi określenie ilości osób, które przed nim przeszły. Nas jednak do marszu gęsiego bynajmniej nie ostrożność zmusiła, lecz warunki terenowe. Wąziutka niby-ścieżka wiła się nad samym brzegiem strumyka. Z jednej strony przejście zagradzał gąszcz wysokich krzewów, z drugiej — nurt wodny.

Posuwaliśmy się w milczeniu, wsłuchani w głosy puszczy: ćwierkanie ptactwa, łopot skrzydeł, jakieś szelesty, trzaski, niewątpliwie wywołane przez czworonogich wędrowców puszczy. Wysokie drzewa rzucały na nas cień, lecz tu i tam między konarami prześwitywało słońce pełnego dnia, jaśniejąc migotliwymi plamami na poszyciu. Strumyk bulgotał monotonnie, wijąc się między pniami drzew i ukazując dno to żółte od piasku, to znów brązowe od mułu i gnijących szczątków roślin. Moje dobre samopoczucie — wskutek zmęczenia, wzmagającego się upału i ciężaru ładunku, jaki dźwigałem — nieco się pogorszyło. Zarówno ja, jak moi towarzysze obciążeni zostaliśmy nie tylko bronią, lecz także sakwami wyładowanymi żywnością, w którą aż nazbyt hojnie wyposażyła nas Kitty. Nic więc dziwnego, że marsz bardzo mi się dłużył. Sądzę, że i moim towarzyszom również.

Kolejny odpoczynek nastąpił, gdy dotarliśmy do polanki, o której wspominał Stephen Grant. Strumyk tam gwałtownie skręcał wypływając z lasu i powtórnie w nim ginąc. Rozsiedliśmy się w cieniu drzew. Należało porządnie wypocząć przed najtrudniejszym i najniebezpieczniejszym odcinkiem naszej wyprawy. Wydobyliśmy z worków płaty pieczonej łosiny — myśliwskie trofeum Franka Benneta — oraz chleb, który upiekła Kitty. Popiliśmy czystą jak kryształ i zimną wodą ze strumyka.

Na posiłku i pogawędce upłynęła dobra godzina. Karol wydobył z kieszeni zegarek.

— Południe — stwierdził. — Jak daleko stąd do jeziorka?

— Zależy, jak szybko będziecie iść. Nie spiesząc się zbytnio, za jakąś godzinkę staniecie u celu. Oby szczęśliwie! A teraz uważaj, Karolu! Powinniście posuwać się stale na wschód, prosto, tam — Maks wskazał ręką. — Uważajcie, polanka z jeziorkiem nie jest duża, łatwo ją ominąć, a kierunek słońca może was zwieść.

Na to Karol i ja, prawie jednocześnie, wydobyliśmy kieszonkowe kompasy.

— No tak, dobrze — pochwalił nas Maks. — Więc będę tu na was czekał. Jeśli nie wrócicie przed zmierzchem, zacznę was szukać.

— Nie! — zaprotestował Karol. — Nie wiadomo, ile czasu nam to zajmie. Damy sobie radę, prawda, Janie? — klepnął mnie po ramieniu. Niejeden raz siedzieliśmy przy indiańskim ognisku i nocowali w tipi i, jak widzisz, włos nie spadł nam z głowy.

Cdn.

1

Asterix Obelix

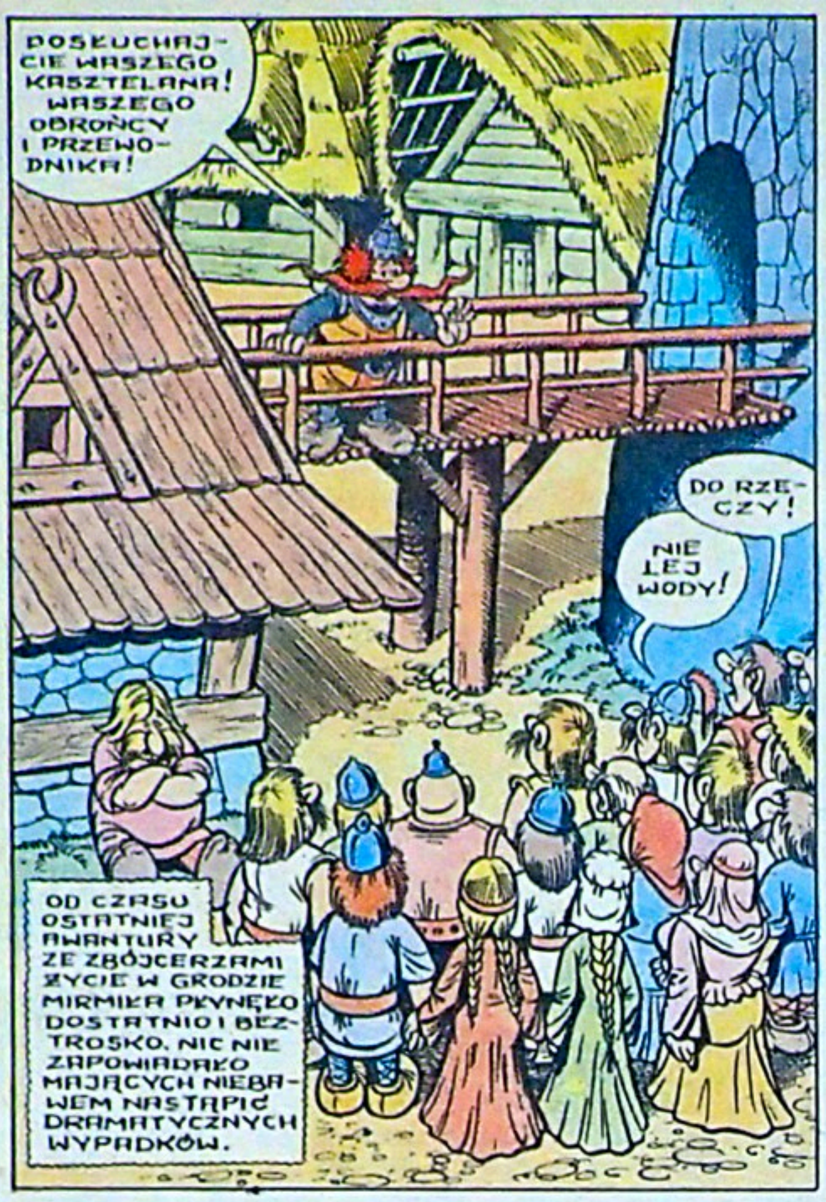

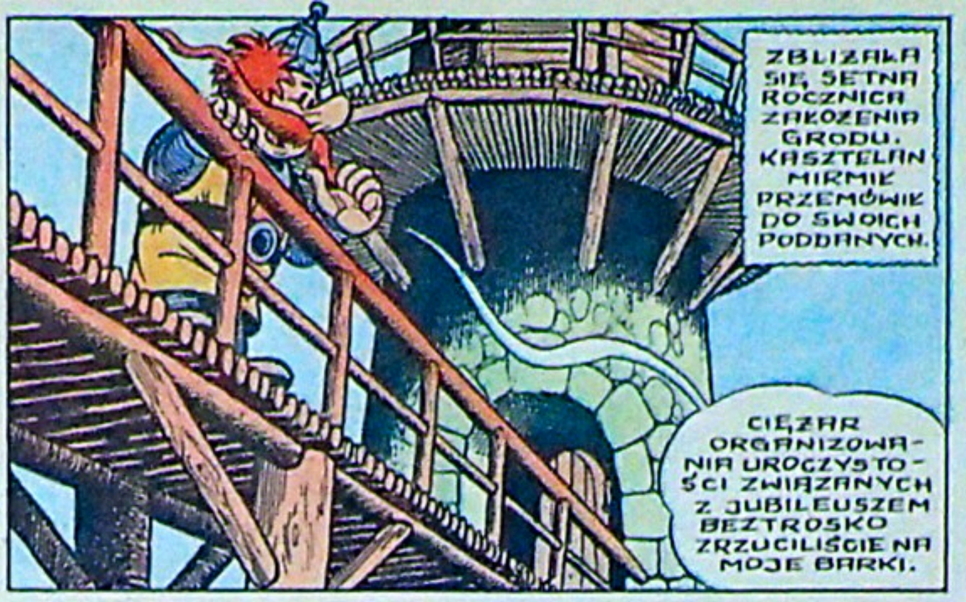

Tekst i rysunki J. CHRISTA

ŚWIAT MŁODYCH

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 67 (4462)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, TELEX 81-36-58

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, TELEX 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobylecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13) **Foloreporterzy** tel. 21-98-28.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-138-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Szarlota Paweł
Opracowanie techniczne: Wiesława Chmielewska
Korekta: Maria Marasek
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 1945/G/88. U-39. Nakład 439 000 egz.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

W sklepie z farbami pan Mądrala pyta sprzedawcę:

— Proszę pana, czy czarny to jest kolor?

— Oczywiście, proszę pana!

— A biały, czy to też kolor?

— Także!

— No, proszę! A moja żona nie wierzy, że nasz telewizor odbiera kolorowy program...

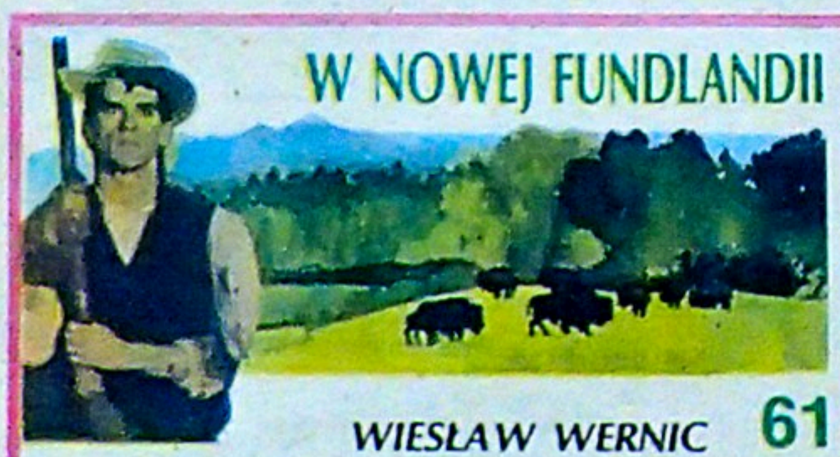

W NOWEJ FUNDLANDII

WIESŁAW WERNIC **61**

To rzekłszy Maks pchnął dziób łodzi na miniaturową plażę, wąskim pasemkiem rozciągniętą między dwiema kępami zarośli. Skoczyłem na piasek. Po godzinnym siedzeniu w niewygodnej pozie i na mało wygodnej ławeczce przyjemnie było rozprostować nogi i plecy.

Gdyby nie cel naszej wyprawy, tak ryzykowny i tak niepewny, uznałbym ten ranek za jeden z przyjemniejszych w życiu. Las parował nocną wilgocią, zapachem żywicy, zeschłego igliwia, paproci i mchu. Lekki wietrzyk, w miarę chłodny, w miarę ciepły, łagodnie muskał nam twarze. Wiosłowanie wypłoszyło ze mnie resztkę senności. Czułem się rześko, gotowy do największego nawet wysiłku fizycznego.

Oto już pierwszy promień wschodzącego słońca przedarł się poprzez konary jodeł i rozbłysnął w lustrze wody złotoróżowym refleksem. Chór ptasich głosów, ćwierkań, kląskań, trelli, rozbrzmiał w półmroku puszczy.

Szybko minęło dziesięć wyznaczonych przez Maksa minut odpoczynku. Zepchnęliśmy łódź na wodę. Z każdą minutą polepszała się widoczność, aż ukazał się skrawek słonecznego kręgu i woda zamigotała złociście.

Minęła następna godzina, minęło kolejne pół godziny. I wówczas dostrzegłem na prawym brzegu lejkowate ujście wąskiego strumyka.

Maks pchnął wiosłem. Dziób werżnął się w pas niskich zarośli. Wciągnęliśmy łódź głębiej na ląd, a później, siedząc pod koroną potężnego modrzewia, zakurzyliśmy fajeczki. Powiekłoś, że jak na doświadczonych westmanów, postąpiliśmy bardzo nieostrożnie, gdyż zapach tytoniowego dymu niesie się zwykle bardzo daleko. Lecz — jak zapewnił Maks — od celu podróży dzieliło nas dobre kilka mil.

Rozpoczynała się druga część naszej wyprawy, niebezpieczniejsza od pierwszej.

— Karolu — odezwał się niepewnie leśnik — może jednak lepiej będzie zawrócić?

— Dla kogo lepiej?

— No... oczywiście dla nas.

— Mylisz się. Wielki Niedźwiedź na pewno nie zaniecha poszukiwań cudownego kamienia. Jeśli go odnajdzie...

— Ależ to niemożliwe! — wtrąciłem się.

— Leśnych jezior w okolicach Norris nie jest wiele — Karol nie zwrócił uwagi na moje słowa. — Chyba nie więcej niż pięć. Sprawdziłem to podczas zimowych polowań i chyba się nie mylę.

— Nie mylisz się — przyznał Maks. — Znam ich również tylko pięć.

— A więc istnieje poważna szansa znalezienia zatopionego bursztynu. Co prawda, jeśli istotnie ten bursztyn został zatopiony przed bardzo wielu laty, mógł do tej pory obrosnąć mułem i nawet znaleźć się pod dnem któregoś z tych jezior. Znając jednak upór Indian wierzę, że mogą go wydobyć. Przy odrobinie szczęścia... nawet któregoś z najbliższych dni. A wówczas któż przewidzi, co strzeli do głowy Wielkiemu Niedźwiedziowi, Białej Wydrze i tym bardzo młodym, jak wynika z opowiadania Stephena, ich towarzyszom? Może zorganizują napad na wieś, by zgodnie z tradycją swych przodków ozdobić swe namioty pękami skalpów? Może uderzą na leśniczówkę, by się zemścić na nas za ucieczkę więźnia? Któż odgadnie? Przecież odnalezienie bursztynu ma im zagwarantować zwycięstwo!

— Ponuro przewidujesz, Karolu — mruknąłem, nieco przygnębiony wizją przyszłości, jaką odmalował mój przyjaciel.

— Istotnie, ponuro — zgodził się. Uważam sytuację za bardzo poważną. Jedyny sposób zapobieżenia jakiejś krwawej

Dokończenie na str. 7